

# KURPIE.

Powieść Historyczna przez Kazimierza Wł. Wójcickiego.

“Stara powiastka jak wino z Tokaja  
Serce zagrzewa i umysł upaja.”  
Dominik G. Magnuszewski, konfederat.

Tom. I. i II.

Na nowo wydał KS. W. GRUTZA, z Milwaukee, Wis.



1899.

Czeionkami i drukiem “Katolika” i “Źródła”.  
Milwaukee, Wis.

# KURPIE.

---

Powieść Historyczna przez Kazimierza Władysława Wójcickiego.

---

“Stara powiastka jak wino z Tokaja  
Serce zagrzewa i umysł upaja.”  
Dominik G. Magnuszewski, konfederat.

Tom I. i II.



1899.

Czcionkami i drukiem “Katolika” i “Źródła”  
Nakładem Ks. W. Grutzy.

MILWAUKEE, WIS.

## I.

Było to wstyczniu 1708 roku; na młym kominku palił się ogień, przy nim siedział we wielkim, z wysoką poręczą krześle stary Ordon, i nucił Psalmy Dawida, przekładu Jana Kochanowskiego z Czarnolesia. Ale śpiew jego był cichy, głos drżący; był to starzec już 65 lat wieku liczący; towarzysz wypraw Jana Sobieskiego, który wiele jeszcze zapamiętał z czasów Jana Kazimierza, bo w kwiecie wieku służył w Husarskiej chorągwi Stefana Czarnieckiego. Chociaż wiekiem styranym, siwizną okryty, zachował czerstwość na licach i żywotność młodzieńczą; siedział właśnie w swojej sypialnej komnacie, grzejąc się przy kominku — W rogu ściany, stało jego łoże nie puchem wysłane: materac twardy, skórą łosią zasłany, na niej rozciągnięta skóra niedźwiedzia, skórzana, włosem wypchana poduszka pod głowę, burka do okrycia, oto było łoże starego Ordon. Nad nim wisiał kord krzywy, kołczan zbroja, hełm ozdobny i skrzydło orle w srebro oprawione, zabytki ubioru Husarskiego; pod tem wielki krzyż heblowany z Chrystusem ukrzyżowanym i relikwiami św. Bonifacego, którego ciało w Czerniakowie pod Warszawą spoczywa, gdzie rok rocznie mnóstwo pobożnych w pierwsze dni majowe wzywa Jego opieki i pomocy.

W przeciwnym rogu komnaty, stała mała szafeczka z ciosowego drzewa snycerską robotą, gdzie ulubione księgi przechowywał Ordon. Tam w per-



gamin lub skórę oprawne znajdowały się kroniki: Bielskich, Gwagnina, Strykowskiego. — Zielniki potrzebne do apteki domowej Marcina z Urzędowa i Syreniusza; Bardzińskiego przekład tragedyi Seneki, a Morsztyna Kornela, Andromaki i Cyda. Zbiór poezyj Wespazyana z Kochowa Kochowskiego, pod tytułem: Niepróżnujące próżnowanie i Wiedeń wybawiony. Wiele dzieł Samuela ze Skrzyppny Twardowskiego, między tymi poselstwo sławne księcia Zbaraskiego, do Turcyi, Przysłowia Fredry. Kronika Orzechowskiego, Dworzanin Górnickiego, Pisma Mikołaja Reja z Nagłowic, i wiele innych.

Na stoliku leżały roztwarte metamorfozy Ovidyusza, przekład Chrościńskiego, ulubione dzieło Ordon, tem więcej, że żył w ścisłej przyjaźni z Chrościńskim, który był pobocznym sekretarzem Jana III i sławnym wówczas poetą. Przez niego był przedstawiony Sobieskiemu, który poznawszy wielkie zasługi Ordon, darował mu wioseczkę Jazdow, gdzie spokojnie resztę życia przepędzał. Wystawił sobie dwór porządny i z kochaną Małgosią i dziećmi przy skrzętności i gospodarstwie nazywał się szczęśliwym. Że to był wieczór, swoim zwyczajem nucił pieśni pobożne, w pobożnej komnacie siedziała pani Ordonowa, zajęta naprawą rogówki, przy niej Zosia, jej córka, przędcą na kołowrotku.

— Cóżes tak zamyślona? mówiła do Zosi, czekasz na Stasia zapewne?

Na wspomnienie Stasia, Zosia raka upiekła i spuściła oczy.

A bywało dawniej, to Zosia matce prześpiewywała wieczór, zabawiała, teraz siedzimy jak mruki.

Zosia nie śmiała nic odpowiedzieć, tylko zanuciła piosnkę dawną, którą matka śpiewała w swojej młodości.

W niedzielę rano słońeczko wschodzi,  
Sliczna panienka w pole wychodzi:

Milego wyglądając, z radości go czekając,  
Radaby go ujrzała.

W tem mocno pokurcz zaszczekał na podwórzu, Zosi mocno serce bić zaczęło, niedługo roztworzyły się podwoje i wszedł gość spodziewany. Był to Stanisław Telembski, dworzanin Pani Wojewodziny Rawskiej, młodzieniec dorodny. Zosia stanęła cała w ogniu, matka z uśmiechem powitała Stasia, który pospieszył do sypialni starego Ordon.

— Quo modo vales! mój Stasiu, rzekł starzec podając mu drżącą rękę.

Telembski pocałował ją z uszanowaniem.

— Cóż nowego przywozicie, gdzie nasz Król Najjaśniejszy?

— Wszystko złe, mój ojczu, Szwedzi znieśli wojska saskie w Inflantach, już są niedaleko, a król August opuścił Warszawę, i uchodzić musi.

— Jakto! zawołał z uniesieniem Ordon i w tej chwili sięgnął ręką, jakby chciał szablę pochwycić nie było nikogo coby się oparł najezdnikom, coby dumnie przytarł rogów?

— Nikt im się oprzeć nie zdołał; na skrzydłach zwycięstwa i przestrichu, Karól XII zajmuje Polskę, a sztandar Szwedów powiewa w murach Warszawy.

— O czuję, rzekł z głębokim westchnieniem Ordon, czuję i cała Polska czuje, że nie masz Jana

III; nie takie zastępy doświadczoną rozbijał szablą, a teraz przed garstką najezdców wszystko pierzcha i ucieka.

— Z początku mówił dalej Telebski, wszystko szło pomyślnie w Inflantach, Szwedzi rozproszeni, warowne zajęto twierdze, Zdawało się, że wszystkie sprzyja zamierzonej sprawie. Król duński, August i Piotr Wielki, z trzech stron nacisnęli Szweda: wielkie miano nadzieje, że Karol XII, zaledwie 19 lat wieku liczący, nie potrafi stawić oporu; ale były to zwodne nadzieje, Karol bije Duńczyków, w 7000 swoich rozbija 80.000 Moskwy pod Narwą, zwycięża Sasów i strąca z tronu Augusta.

— Więc do tej zuchwałości się posuwa najezdnik, że pozbawia korony tego, któregośmy wolnymi głosy, wolną obrali Elekcyą? Cóż ma za prawo, może sam chce królem Polskim zostać, jak Gustaw! ale Gustaw znalazł zdrajców Radziejowskiego!

— Zapomniałeś, mój ojcze, rzekł z boleścią Telebski, że syn jego żyje; on to namawiał Augusta, do rozpoczęcia tej nieszczęsnej wojny, on zachęcał Króla, a teraz!

Jakto zawołał Ordon, więc to sprawa prymasa, o dobrze mówią:

Jakie drzewo, taki klin,

Jaki ojciec taki syn.

— Niedaleko pada jabłko od jabłonki.

— Inflanty, wiadomo, ile jęczały pod żelaznem jarzmem Szwedów; zubożeni podatkami, ciśnieni niesprawiedliwością, wysłali poselstwo do ojca dzisiejszego króla szwedzkiego, Karola XI., z przedsta-

wieniem i prośbami. W tem poselstwie odznaczał się Jan Reynhold Patkuł, Inflantczyk, który smiało i z godnością wszystkie nieszczęścia swojej ojczyzny przedstawił. Z początku Karol XI. nie rozgniewał się wcale, owszem, klepiąc go po ramieniu: "Mówiłeś dzielnie za swoją ojczyzną, szacuję cię za to! broń swojej ziemi jak możesz." Ale niedługo rozkazał uwięzić i sądzić. Skazano ich na śmierć i ucięcie prawej ręki, wyroku wszelako nie dopełniono, z powodu śmierci króla. Gdy na tron wstąpił Karol XII ułaskawił wszystkich będących we wspomnionem poselstwie. Patkuł nie mógł korzystać z tej łaski, gdyż poprzednio uszedł do Polski i naszego Miłościwego Pana namawiał, by spieszył na uwolnienie Inflant z pod jarzma Szwedów. Wahał się August, ale go Prymas Radziejowski, pomimo oporu całej zwołanej rady zachęcał!...

— Cóż było Radziejowskiemu powodem do skłócenia Naj. Pana? — zapytał Ordon.

— Mówią, mój ojcze, iż Stany Inflanckie przysłały mu 100,000 talarów za to.

— Rozumiemy! szlachetne pobudki, a teraz w biednej Polsce krew przelewać będą! O nieszczęśliwa ziemio, kiedyż Bóg dobrotliwy litośnym spojrzy na cię okiem! I tarł łzy z sędziwego lica.

— Tak więc wojna zaczęta grozi nam zniszczeniem, a Najjś, Augustowi utratą korony.

— A ów Patkuł? gdzież przebywa?

— Teraz w usługach Piotra Wielkiego zostaje, i wielkie mu przysługi czyni. Karol XII gwałtem chce go dostać, dopiero by się pomścił.

— I nikogoż do obrony Ojczyzny nie masz?

— Żyjemy jeszcze i ta ręka włada, zawołał z uniesieniem Telembski, niedługo znajdzie potężny opór; chyba po naszych trupach krokiem dalej na ziemi polskiej, stanie. Wojska nasze zgromadzają się zewsząd. Szlachta w Sandomierskiem ogłosiła Konfederacyą w Dzikowie i każdego ogłosiła nieprzyjacielem Ojczyzny, ktoby Szwedowi pomagał, śmierć im nasze kordy zaniosą.

Z rozrzewnieniem przycisnął do łona Ordon młodzieńca.

— Mój synu! widzę, że prawdziwie krew polska w żyłach twoich bieży, bij tak wrogów Ojczyzny, jak i my bili za ś. p. naszego kochanego Jana, któremu niech Bóg da światłość wiekiustą — i uchylił pobożnie głowy.

Tymczasem przygotowano wieczerzę. Ordon, którego drżące kroki wspierał Telembski, wszedł do jadalnej komnaty i usiadł przy swojej Małgosi, a Zosia siedząc przy ukochanym Stasiu, ciągle wlepione miała oczy w dorodne oblicze młodziana.

## II.

“Bijące w Polskę pioruny,

“Nie wygasły jeszcze w niebie.

A. H. Fredro. (Obroda Olsztyna.)

Polska przedstawiała w czasie niniejszej powieści smutny widok. Postępował ze zwycięskimi chorągwiemi bohater lodowatej Skandynawii i bez oporu; wojska saskie rozbite. August zmuszony ze stolicy uciekać; w kraju mnożyły się coraz większe partye, które wzajem ze sobą walczyły jak nieprzyjaciele i najeźdźcy, a wszystkiego sprawcą i podżegaczem był Michał Radziejowski,

Prymas i Kardynał. W Litwie wybuchła wojna domowa między Sapiehami a szlachtą Litewską, co jeszcze więcej pogorszyło i stan Polski i los samego Augusta.

Oburzona szlachta litewska dumą i przewagą domu Sapiehów, gdy ci wszelkie zajęli dostojęstwa i szafarzami byli urzędów dla swoich stawinogów, ogłasza Konfederacyą i zbiera się licznie pod Olkiniki. Sapiehowie zgromadzają wojska Rzeczypospolitej, obiedwie strony przygotowały orężę krwi bratniej chciwie; stoczono bitwę, w której Sapiehowie na głowę porażeni, jeden z nich koniuszy wielki litewski, otoczony z 1500 jazdy i wzięty w niewolę, na szablach rozjątrzonej szlachty roznieśiony. Sapiehowie zgnębieni i zubożeni, szukali wsparcia u króla Augusta, ale Radziejowski tyle zabiegami swymy dokazał, że ci nieufni i podejrzliwi, złączyli się z Karolem XII.

Tak więc, nietylko zwycięskim orężem, ale niezgodą wewnętrzną, wkorzaniał przewagę swoją w Polsce król szwedzki, silną pomoc w Radziejowskim znajdując, który zaprzysięgłym był wrogiem Augusta, a ta niechęć od dawna była widoczną.

Gdy bowiem zakończył życie pogromca Turków, Jan Sobieski, gdy Marya Kazimira tyle zemstą na syna swego księcia Jakóba, uniesiona, iż mu zagroziła drogę do tronu ojca, między wielą kandydatami, odznaczali się ksiązę de Conti, którego stronę zapłacony wspierał Radziejowski i August, elektor saski. Ostatniego stronnictwo przemogło, a ksiązę de Conti, chociaż przybył do Gdańska, nie łudząc się nadziejami zwodnymi Radziejowskiego, wolał wrócić do Francyi, gdzie spokojnie i w lu-

bem zaciszu życie przepędzał, niż niepewnym bojem dobijać się niepewnej korony. Radziejowski, chociaż opuszczony od niego, dumny, aby się unieść Augustowi, podał mu warunki, pod którymi go dopiero uzna za króla polskiego. To najlepszym dowodem jego zarozumiałości, miłości własnej i niepomahowanej dumy, co wszystko boleśnie zraniło król August, gdy odrzucił podane warunki, a Radziejowski musiał zdać się na łaskę Monarchy; odtąd był zaciętym wrogiem, a każdy czyn jego znamionowała zemsta, którą oddychał. — On namówił Augusta do zaczęcia wojny szwedzkiej tak nieszczęśliwej dla Polski, on zdradnie zwabiwszy do Warszawy osadzonej podsycił, rozplenił, słowem wszelakich nieszczęść był powodem.

Los prześladował Augusta; we 12,000 wojska Rzeczypospolitej i 12,000 Sasów cofał się przez Sandomierskie do Krakowa. Szlachta polska jedna wspierała w nieszczęściu króla, druga żądała nowej elekcji. Wtenczas to wsławił swoje imię Szmigiel-ski, starosta poznański, potężny mściciel obrażonego majestatu Augusta, który zwycięskimi podjazdami zachwiał aż dotąd pewną i nieprzełamaną potęgę Karola XII. Był on postrachem Szwedów, samo imię jego ze drżeniem wspominali.

August strącony, pod bagnietami Szwedów.

Przystępując do kreślenia dalszego ciągu powieści, należy chociaż po krótko wspomnieć o Kurpiach, jako dotąd prawie zupełnie nieznanych. Kurpie jest to, o ile się zdaje, pokolenie jednego szczepu z Mazurami, które osiadło nieprzejrzane lasy Mazowieckiej ziemi; szczególnem ich zatrudnieniem jest myśliwstwo i pszczoł hodowanie. Jeżeli

Krakowiak, Sandomierzak i Góral mają sławę z odwagi i męstwa, nie ustępują im w niczem Kurpie. — Nazwani tak od obuwia ze skóry lub kory lipowej, które zwyczajnie noszą, w tej stronie zwane kurpie, jak w Karpatach kierpce, na Rusi po-stoły w innych prowincjach łapce lub chodaki.

Zręczni w celnem strzelaniu, odważni do podziwienia, są przytem lubieżni i mściwi. Następnym przykładem z najpóźniejszych czasów objaśni to dokładnie.

Stary Kurp, zabił w zakazanych lasach, już na pruskiej ziemi jelenia i ukrył, chcąc wieczorem unieść swoją zdobycz. Leśnik królewski dostrzegł kradzieży i umyślił sprawcę surowo ukarać. — Zaczajony czekał; stary Kurp przybywa gdzie schował jelenia, leśnik mierzy, strzela i chociaż chciał tylko postrzelić, zabija Kurpia. — Syn wiedząc o wyprawie ojca, napróżno go oczekiwał, wkrótce odkrył morderstwo, uniósł ciało zabitego na swoich barkach, zagrzebał i na mogile zemstę poprzysiął. — Nabił strzelbę, a wywiedziawszy się, gdzie przebywa zabójca, pospiesza. Mieszkał leśnik w ustronnym domku; na kominie palił się ogień, przy nim siedział leśnik piastując na kolanach małego syna. — Ten widok zachwiał Kurpia, bo pomyślał, że nabój gotowy, a chciwy tylko iskry, pozbawiłby tę niewinną istotę ojca i zrobiłby sierotą. Ale zemsta przemogła, zmierzył i z połyskiem padł ugodzony kulą w samo czoło leśnik i dziecię z bezwładnych rąk wypuścił.

Chaty mają porządne, w której jako sprzęt najpierwszy ujrzyś na ścianie strzelbę i torbę. — Przesądni i zababonni, jak inne pokolenia, mają

swoje wyłączne, szczególne gusła myśliwskie, z których wiele niniejsza obejmuje powieść. Siedziby własne uważają jakby kraj udzielny, a za stolicę Kurpiów liczą się: Myszeniec i Ostrołęka za własne rzeki: Narew i Omulew

Imię Kurpiów zaczęło głośno słynąć od czasów obecnej walki ze Szwedami, a zręczność w strzelaniu uwiecznili myśliwi przysłowiem: "Strzela jak Kurp", co jest największą pochwałą doskonałego myśliwca.

### III.

"A odjechać od niej nudno,

"A przyjechać do niej trudno".

Pieśń gminna.

— No, mój Stasiu! mówił stary Ordon do Telembskiego, zapewne zabawisz z nami dni kilka?

— Nie wiem, ojczy, odpowiedział, radbym z duszy, spojrział na Zosię; jakże mi tu słodko i przyjemnie wypoczywać po trudach.

— Stasio, jak zechce to się i zabawi, rzekła pani Ordonowa, zapewne nic nie ma pilnego na dworze pani Wojewodziny.

— Moja matko! czekam co chwila listu, ważne tam zajść dotąd mogły zdarzenia, pani Wojewodzina jest wyższą nad płeć swoją.

— Słyszałem o tem, że to dziwna białogłowa: poluje jak mężczyzna, dzielnie włada kordem.

— I teraz go dobędzie, przerywając Ordonowi w zapale Telembski, dobędzie w obronie praw i obrazonego Majestatu Najjaśniejszego Augusta. — Jakbym słyisał, że już odgłos trąb i kotłów na jej

dworze zapowiada wojnę, wojnę krwawą najezdnikom naszej ziemi.

— O! przyjechał jakiś posłaniec, rzekła Zosia, stojąc w oknie, widać, że od znakomitej osoby, bo u słupa przy złotym kółku konia uwiązał.

Było to albowiem starożytnym zwyczajem w Polsce, że na podwórzu przed domem panów i znakomitszej szlachty stał wkopany wysoki słup, przy którym znajdowały się trzy kółka, do których wiazano konie. Kółko żelazne, srebrne i złote: u żelaznego przywiązywał lejce wieśniak tylko, u srebrnego szlachcic, a u złotego posłaniec znakomitego pana. Zachował ten zwyczaj i Ordon, a lubo kółko w miejscu do tego było mosiężne, lekko pozłacane, wszelako nazywano je złotem i Zosia dla tego uwiadomiła, że posłaniec u złotego kółka uwiązał konia.

Niedługo wszedł Jan Huczko, pacholek przywiązany szczególnie do Telembskiego i z niskim ukłonem oddał mu list.

— Od kogo? zapytał niespokojny.

— Od Jaśnie Wielmożnej Pani.

"Za odebraniem tego listu, natychmiast waszmość pospieszysz do Myszeńca, drogą, jaką ci wskaże posłaniec umyślny."

— Cóż się tam stało nowego? zapytał pacholka.

— A Bóg wie, co się tam dzieje, wielmożny panie! odpowiedział. Na dworze Jaśnie Wielmożnej Pani zbiera się mnóstwo ludu z brojnego po wsiach uderzono na gwałt, w lasach precz pozawalano drogi, nacięto drzewa, pokopano rowy, napuszczono wody, żeby utrudzić przejście Szwedom; bo słyisać, że przez nasze lasy chcą przechodzić. I wiele z panów szlachty się nazjeżdżało, mówili,



że czekają na jakiegoś wielkiego pana, jakiegoś starostę.

— Ruszaj, mój Janie! zawołał Telembski, i okulbacz konia, niech będzie w pogotowiu! — Huczko ukloniwszy się, odszedł i pospieszył do stajni.

— To i pan Stanisław odjedzie, rzekła z rumieńcem niewinna Zosia.

— Muszę! była cała jego odpowiedź, całe uniewinnienie, jednakże bolesne westchnienie i łza cicha najlepiej świadczyły, ile go to kosztowało.

— Komu w drogę to i czas, rzekł stary Ordon, ja napiszę parę słów do Waszmości Benefaktorki, była ona zawsze łaskawą dla Ordonów i Telembskich, jako i jej ś.p. małżonek, a wy, moja kochana Małgosiu, zaopatrzenie Stasia na podróż w potrzebne wiktuały.

Podniósł się ze swego krzesła i przeszedł do sypialnej komnaty dla napisania listu; pani Ordonowa pospieszyła do spiżarni. Telembski zbliżył się do zasmuczonej Zosi, nie mogącej łez wstrzymać.

— Moja Zosiu! nie płacz, Bóg dozwoli, że się jeszcze widzieć i szczęśliwie żyć będziemy. — Zosia wsparła głowę na jego ramieniu i przycisnęła mocno rękę do swego serca.

Była to zbyt bolesna, rozrzewniająca chwila Telembskiego, trzymał w objęciu swoim niewinnego anioła, który tylko w nim swoje szczęście, swoją przyszłość i świat cały upatrywał, przycisnął do serca i ze zapałem w różane pocałował usta.

Wkrótce Ordon przywołał go do siebie.

— Masz wasmość list do Jaśnie Wielmożnej wojewodziny, wiemy, iż łaskawym okiem przeczytać go raczy. Nie zapomnimy tu o was mój ko-

chany Stasiu, czekać was będziem z Małgosią i Zosią.

Telembski ucałował rękę Ordonowa, nadeszła niedługo i Ordonowa.

— No, jużem cię uprowiantowała, masz dla siebie czworo kurcząt pieczonych, szynki kawałek, chleb, ser, masło i pieczeń husarską, a dla pachółka dałam parę półgąsek świeżych.

Huczko wyprzewodził ze stajni konie na podwórze; Zosi żal serce ścisnął, rzewnymi załżała się łzami. Telembski pożegnawszy rodziców, przybiegł do Zosi.

— Bądź zdrowa, moja droga, moja kochana Zosiu.

— Niech cię Bóg szczęśliwie prowadzi, mój Stasiu, ale jakies mam smutne przeczucie, że się już nie zobaczymy; zachowaj to odemnie, może cię kiedy od złego przypadku ustrzeże — i podała mu szkaplerz swojej roboty, z Matką Boską Częstochowską.

Telembski ucałował Zosię i ze łzami wybiegł na podwórze, dosiadł zręcznie rumaka, jeszcze raz skłonił się państwu Ordonom, uchylił czapki i dał koniowi ostrogę. Bułanek wspiął się w górę i poskoczył z prawej nogi galopa. Zosia stała przy oknie, ocierając często łzy, bo jej zasłaniały Stasia, który odjeżdżał i niknął pośród wysadzonej lipami drogi. Ordon ze żoną żegnali i błogosławili patrząc za nim:

— Niech go Bóg szczęśliwie i zdrowo prowadzi!

Zosia, ażeby ukryć łzy przed rodzicami, usiadła przy kolebce dwuletniej Jadwisi, siostry swojej, chciała jej nócić kołysząc, ale zamiast śpiewu, łkanie rzewne w Alkowie słychać było.

Telembski powoli zwolnił galopa, bo się bu-

łanek spienił, a obracając się do pacholka zapytał:

— Cóż tam więcej słyhać?

-- Nic więcej wielmożny panie, spodziewamy się tylko, że tęgie zaczepki będą z tymi Szwedami, na dworze pan podstarości mówił, że z Boską pomocą damy Szwedom radę, że nasz król, co teraz uciekać musi, powróci, a wtenczas każdego, co za jego sprawliwą strcną trzyma, hojnie nagrodzi i o każdym pomyśli; że do naszej pani i sam król niedługo przyjedzie.

— Gdzież Wojewodzina? zapytał znowu.

— Jaśnie Wielmożna pani we dworze przyjmuje i częstuje gości, a wino leje się jak woda. Kucharz Maciej dobrze poci czoło, to też na wszystkich się gniewa. Przywieźli wiele prochu i rozdają go strzelcom i Kurpiom, żeby sobie porobili ładunki, każdy jak to mówią: teraz stroi i zbroi. Po nowym roku pani wiele podarunków rozdała; Kasia mi mówiła, że jakiś śliczny podarunek dla wielmożnego pana ma sama pani zachowany, ale prosiła mnie o sekret na miłość Boga, żebym nawet i panu nie mówił.

— Nie dotrzymałeś słowa, rzekł z uśmiechem Telembski.

— A kiedy, bo ja ino nie mogę nicutać przed wielmożnym panem, odpowiedział z prostotą i skrobiąc się po głowie, i jak co wiem, to prawda, nie nikomu nie gadam, ale panu muszę powiedzieć i lżej mi dopiero na sercu.

— Dziękuję ci, mój Janie, wiem że mnie kochasz — i podał mu z dobrocią rękę. Huczko ze łzami ją ucałował.

— Ale mi żal było panny Zosi, rzekł po chwili, biedny gołabczek, jak też to płakało, widać, że mego pana bardzo kocha, o i stare państwo sami także kochają. Dworscy mi mówili, że pana jak syna swego mają.

Telembski z rozrzewnieniem słuchał Jana, a na ostatnie jego słowa odpowiedział:

— O dałby Bóg najwyższy! — pomyślał, abym spełnił ich życzenia.

— To już dobra mila od Jazdowa, rzekł Jan, bo widać czerwoną karczmę, a tam poczciwy arendarz, trzebaby spocząć koniom, żeby siana przejadły

— A ty się wódki napił! rzekł Telembski. Jan uchylił czapki z uśmiechem, stanęli przed karczmą, pacholek wprowadził konie do stajni, kazał dać siana, wychylił półkwaterek szumówki, widać, że smacznej, bo aż splunął i wasa pokręcił. Telembski wszedł do izby napełnionej chłopstwem, żydami i kilkunastu szlachty, wracającej z bliskiego kiermarszu.

#### IV.

“Mury w gruzach, na miejscu zamkowego gmachu  
 “Sterczy nędzna karczemka bez okien i dachu;  
 “Tam na popasie z nudy rozważać począłem  
 “Miny i mowy ludzi siedzących za stołem”.

Adam Mickiewicz. (Popas w Upicie.)

Przy wielkim stole, zastawionym flaszami wódki i miodu, siedział we środku szlachcie Zaręba, przy nim młody Załyński z pod Łukowa z jednej, z drugiej strony Puchała od Częstochowy, ważną zajęci Rozmową. — W jednym rogu dalej, rozparty kiwał się nad kwatrką wódki pan majster jak go

nazywano, szewc z Denkowa, który ze zapałem wykrzykiwał i pięściami nawet chciał dowodzić innym, że jest najstarszym majstrem, bo z dziada, pradziada szewcem, a inni to nowicyusze, bo zaledwie mogą wywieść, że z ojca szewczami zostali. Resztę stołu osiedli wieśniacy już dobrze podpici i kilku żydów z kramami, co właśnie zbywszy korzystnie towary, wracali z jarmarku. Telemskiego uprzejmie i z uszanowaniem przyjął arendarz, a żona jego fartuchem wytarła ławę przy kominie i zapraszała do zajęcia miejsca. Usiadł w milczeniu, przysłuchując się tej wrzawie karczemnej.

— A wiesz co wason, rzekł młody Załyński do Zaręby, że to nie bajki i jać tam niedaleko mieszkam.

— Ja nie zapieram tego odpowiedział Zaręba, tylko byłoby o tem głośniej słyhać.

Daję wasanu rękę i przysiądz gotów jestem, Szwedzi z Biały chcieli napaść kościół Pauliński w Lesznie, a to wioseczka o milę od Biały, klasztor tam wielki murowany, ogromne organy, a piszczałki takie grube, że ja bym się, jak wdzieję nowy kożuch, w każdej obrócił.

Na te słowa wszyscy uwagę zaczęli zwracać i ruszać głowami na znak podziwienia, sam pan majster umilkł i spluwając co chwila: to prawda, to prawda powtarzał. Załyński widząc, jak go całe zgromadzenie słucha, z większym zapałem ciągnął opowiadanie.

— Bogactwa wiele, bo tam każdy pan, szlachcic i chłop nawet, doznawszy jakiego cudu, zostawiali vota, Szwedzi ułakomili się i pod wieczór ruszyli, byli już blisko klasztoru, aż tu na grobli za-

stępują im rycerze, a wszystko białe żupany miało, czem przestraszeni uciekli. — Smielsi jednakże przepawszy noc wlesie, rano wpadli do klasztoru i zaczęli rabować, ale ich niewidoma siła powyrzucała oknami. Na pamięć tego pomalowane obrazy i każdy je w kościele widzieć może.

— A dawno to zapytał Puchała.

— Niema kwartału odpowiedział Załyński, to niedaleko ode mnie, siedem mil tylko, nieraz tam na odpuscie bywaliśmy.

— Nic dziwnego, rzekł Zaręba, pokręcając sięwego wąsa, toć Matka Boska za mojego ojca, odpędziła najprzód Szwedów od Częstochowy, a niedługo z całej Polski, może i teraz będzie naszą Patronką, bo co źle idzie, to źle, nasz król uciekać musi, Warszawę Szwedzi zajęli, i nikt się tej "żelaznej głowie" oprzeć nie zdoła.

— To kłamstwo! zawołał z gniewem w milczeniu siedzący dotąd w rogu stołu młody szlachcic, którego nikt nie znał. Na "łeb żelazny", mamy kordy żelazne mężne serca i pewne ręce; pan starosta Szmigielski pokazał, że można bić i pobić Szwedów.

Wszyscy spojrzeli na niego, był to młodzieniec zaledwie 20 lat wieku liczący, wysoki, silnej postaci, twarzy przyjemnej. Miał na sobie granatową bekieszę, pod nią kaftan łosi, pas takież z dwoma pistoletami, przy boku wisiała krzywa Augustówka. Na głowie z czarnym barankiem karmazynowa Konfederatka.

Telemskiego zwrócił także uwagę na siebie, zbliżył się więc do niego.

— Mój bracie, zapewne wiecie, gdzie się pan starosta obraca.

— Dla mężnych i poczciwych nie daleko, dla tchórzów i zdrajców za daleko.

Telebski porwał go za rękę i kilka słów rzekł z cicha, młodzieniec ocknął ze zapału, uchylił czapki i wyszli razem z izby.

— Co to za ptaszek opryskliwy, rzekł Zaręba, czy go nie znacie?

— Nikt go nie zna, odpowiedział arendarz.

— To prawda, to prawda! pomruknął spluwając pan majster.

— Może to szpieg szwedzki, zawołał Puchała.

— To prawda! to prawda! pomruknął znowu pan majster.

Ta uwaga trafiła wszystkim do przekonania. — Puchała Załyński i kilku innych, porwało się od stołu i pobiegli do stajni — Zerwał się żwawo z początku i pan majster, ale nie mogąc się na nogach utrzymać, usiadł jeszcze prędzej, ciągle spluwając; spoczął chwilę, dobył z krótkim cybuchem fajki i znowu się podniósł. — Z wielką biedą wytoczył się przeciw na środek izby, ale dalej iść nie mógł, rozkraczył nogi, a nie wiedząc co ze sobą robić, zaczął przyspiewywać kaczkowatym głosem:

“Nie wiecie chłopaki jak dziewczyny dostać,  
“Skłonić się matuli po gorzałkę posłać”.

Tupnął dla taktu nogą w podłogę, stracił przez to równowagę i potoczył się aż do komina. Szczęśliwym to wszakże można nazwać dla niego trafem, żeby nie ten skok nagły, byłby nie doszedł tak prędko do komina, ani mógł zapalić nałożonej fajki.

Tymczasem Puchała, Załyński i ci wszyscy co wybiegli do stajni, wrócili.

— Uciekł nam ptaszek, uciekł, zawołał Puchała, wyslizgnął nam się z ręki.

— Cóż to za jeden ten drugi panicz, co mu cicho kładł w ucho, zapytał arendarza Załyński.

— Oto szlachcic taki dobry, jak i pan, odpowiedział, on jest na dworze u pani Wojewodziny Rawskiej.

— To Telebski, rzekł głaszcząc czuprynę Zaręba, znamy się od dawna, ale paniczek zhardział jak się do dworu dostał, boć to powiadają:

“Że u dwora

“Nie popłaca i pokora”.

— Pawda, prawda! znowu się odezwał pan majster. — Nie mogąc się utrzymać na nogach, położył się na stół w połowie i omdlałe oczy zwracał na każdego, co który zaczął mówić.

— Gośmy ich, rzekł po chwili Załyński, przecież się prawdy dowiemy.

— Dobrze, dobrze, zawołał Puchała, Zaręba i kilku innych i poskoczyli do stajni.

— Dobrze zawołał z nimi pan majster i chciał razem poskoczyć, ale w tejże chwili zwałił się pod ławę i musiał zaprzestać pogoni.

Telebski z nieznanym młodzieńcem spieszili, a za nimi Jan Huczko; było to nad wieczorem, słońce zniżało się ku zachodowi, nie widać w polu pracowitych wieśniaków, gdyż właśnie była niedziela; gdzie niegdzie tylko pasterze gnali bydło i owce ku domowi.

— Czy widzi pan, rzekł Huczko, widać stąd jeszcze wieżę kościoła w Jazdowie.

Telemski spojrział w tę stronę z westchnieniem i zdawało się, jakby usłyszał odgłos dzwonu na Aniół Pański.

Ona się modli zapewne! pomyślał modli się i płacze. — Ciężko oddychał, żal mu serce ścisnął nie długo myśl bliskiej walki za Ojczyznę i króla przytarły bolesne wspomnienie.

Młody jego towarzysz w milczeniu jechał, gdy z nagła Huczko krzyknął:

— A widzi pan, coś ośmiu szlachty pędzi za nami.

Obejrzeni się ciekawie i ujrzeli istotnie jak podsiwiały Zaręba sadył naprzód na gniadym stępaku, za nim Puchała, Załyński i inni.

Telemski z towarzyszem wstrzymali konie.

— Stój no! panie bracie! wołał z dala Zaręba.

— Stójcie! stójcie! krzyczeli inni i otoczyli wokoło.

— Coś ty za jeden? spytał surowo nieznanego młodzieńca Zaręba.

— Tylko z dala i nie tykaj, odpowiedział zapytany.

— My musim wiedzieć, co waszmość za jeden wolniej Zaręba, widząc, że błysła szabla ostrzona w silnej ręce przeciwnika.

— Nie macie żadnego prawa, zawołał z gniewem młody nieznanomy, a kto by śmiał mi zastępować drogę lub zbliżyć się zuchwale, to mu taką przylepię pamiątkę, że ruski rok przeleży nie lekko.

Telemski ujął się za towarzyszem swoim, do-

był Augustówki i groźno zawołał: zastępuję, czy rozbójnicy?

Huczko nie wiele czekał, dał ostrogę, uderzył w konia Puchały tak silnie, że ten spadł na ziemię; rozstąpili się najeźdźcy, a Telemski z towarzyszem i pachołkiem wyjechali spokojnie.

— Niech ich djabli porwą! rzekł Puchała, gdy go podnosili ze ziemi, było po co gonić.

— Mój bracie! odezwał się jeden ze szlachty, dawna przepowiedzka: "nie kładź palca między drzwiami."

## V.

"Już sztandary z wiatrem wieją,

"Bęben zwolna marsz wybija;

"Jakby liczył krople krwawe;

"Co się dzisiaj z serc wyleją."

Aleks. H. Fredro. (Obrona Olsztyna).

Odgłos trąb i kotłów rozlegał się daleko po lasach Mazowieckich, zapowiadając pochód zwycięskich Karola XII chorągwi. — Zatrzymał się myśliwiec, sławny w tych stronach borowy, wyteżył ciekawe ucho na te nieznanym brzmienia i przysłuchiwał się tonom przeciągłym, które rozniosło echo.

— Djabły czerwone zaglądną w nasze jamy, ale niejednen garniec krwi wytoczą Kurpie, nim zaczną płonąć nasze chaty, dalej zwawo, rzekł sam do siebie, trzeba dać znać do dworu, do naszych, i rączym poskokiem znikł w gęstwinie.

Niedługo wybiegł na pole, spieszenie zwrócił do dworu, który zamieszkiwała wdowa po Wojewodzie

Rawskim Działyńska. Budowla jego była jak zwykle niepozorna: z drzewa wystawiony, wewnątrz dopiero przepych i bogactwo uderzały. W około ogród obszerny ze strzyżonymi szpalerami otaczał, w nim drzewka pod linią sadzone, a trawniki bukszpanem ozdobne.

Dom ten obszerny zawierał wiele komnat, których ściany ubierały gustowne w obicia i bogate tureckie lub perskie dywany. Wielka sala obiadowa, miała chór nade drzwiami, gdzie nadworna muzyka uprzyjemniała czas długiego obiadu lub wieczery; w jednym rogu na machoniowych legarach stała beczka srebrna, napełniona węgryzmem, z niej w czasie uczty mógł każdy do woli puhały nalewać. Na ścianach wisiały wielkie obrazy rodzinne i królów polskich; w niszy między oknami błyszczała zawieszona zbroja szmelcowana i szczerozłota tarcza, a na niej w płaskorzeźbie Jan Sobieski z husarską chorągwią rozbił nieprzeliczone zastępy Turków i Tatarów. Poboczne komnaty cechowała na przemiany prostota z przepychem: w alkowie stał wielki zegar z kukawką, jako osobliwość szczególna.

Pani Wojewodzina siedziała zasmucona, niedawno wielkich podwojów stał w milczeniu i z uszanowaniem Telembski, przy nim młody nieznajomy, który po chwili przysunął sobie krzesła i usiadł. Ten postępek zdziwił Telembskiego, gdy przeciwnie Wojewodzina żadnej na to nie zwracała uwagi. W tej chwili weszło kilkunastu znaczniejszej szlachty, a za nimi wbiegł borowy.

— Jaśnie Wielmożna Pani! zawołał, już są, już

są! Od mogiły Upiora, zejrzałem czerwonych diabłów.

Jak piorunem rażony porwał się młody nieznajomy. — Działyńskiej zajaśniały ogniem czarne oczy.

— Na konie! do broni! zawołała ze zapałem, podać mi zbroję! Telembski naprzód, a Waszmość, rzekła obracając się do nieznajomego młodzieńca, wiesz już swoje stanowisko. — Borowy! do pierwszych zasieków, otoczyć w około, bronić się do upadłego. — Posłaniec czy nie wrócił?

— Nie, Jaśnie Wielmożna Pani, odpowiedział jeden z dworzan.

Δ — więc uderzyła nasza godzina! w Bogu ufność, a pewne zwycięstwo.

\*

\*

\*

~~W~~ Karol XII na czele zwycięskiej 7000 armii wszedł w lasy Mazowieckie drogą od Torunia, za ledwie pięć mil uszedł, staje przed nim Kurp prosty.

— Co on chce? zapytał otaczającą go szlachtę polską.

Kurp zdjawszy swój kapelusz wstążką czerwoną ozdobny, rzekł:

— Przyszedłem tu od swoich powiedzieć ci, królu że jeżeli te warunki przyjmiesz, które podamy, to cię przepuścimy przez nasze lasy, a jak nie, to i nie puścim, choćby się i bić przyszło.

Roześmiał się głośno Karol XII, gdy mu to wytłumaczono.

— Co ja z tymi chłopami bez butów mam się rozprawiać! precz mi z oczu! powiedz swoim, iż

przy łunie ich chałup będziemy się grzali, bo to zimno teraz. Kurp spojrział bystro w oczy Karolowi i znikł w nieprzejrzanym lesie.

Piechoty szwedzkiej regiment w rozsypce idąc, nagle rżęsim ogniem rażony ze wszystkich stron, cofnął się bez zwłoki; droga była wązka, rozwinąć siły nie można. Niecierpliwy Karol każe iść naprzód, Szwedzi z okrzykiem rzucają się mężnie i prawie wszyscy giną.

Trzęsły się dęby odwieczne od huku strzelby i wrzawy wojennej. Niedźwiedź wystraszony z legowiska z ponurym mrukiem uchodził, a dziki tur, wstrząsając grzywą, zapienił długą brodę z gniewu i wściekłości: oczy błyszczały mu jak węgiel, rzucał się w gęstwinie i za każdym poskokiem chrzęst łamanego drzewa daleko słychać było.

Widząc tak niespodziany opór, sam Karol XII zsiada z konia, idzie na przebój, rzuca się pierwszy w rów głęboki i zdobywa szaniec niejako, gdyż były to drzewa zwalone obronne wykopem, z po których Kurpie razili celnymi strzały.

Za zdobyciem tej twierdzy, Kurpie rozsypali się w jednej chwili i spieszyli do drugiej niedaleko położonej, ale Szwedzi umieli korzystać z położenia, gdyż kawałek pola dozwolił i szmigownicom działać i jaździe się rozwinąć, Dla tego też walka była tu zaciętszą i krwawszą. Karol wsiadł na konia, kazał zatoczyć działa, sam stanął na czele jazdy.

Ale pomimo iż używał większej siły, nierównie większego doznawał oporu; grzmiały śmigownice, łamały drzewa, ale na krok dalej Szwedzi postąpić nie mogli.

Tymczasem Działyńska własnym przykładem

zachęcając, wszędzie była, widziano ją zawsze w największym niebezpieczeństwie.

— Jeszcze chwila! wołała, a noga Szwedów nie ujdzie!

Jakoż niedługo powstały w około groźne okrzyki w pośród ogromnych lasów. Szwedzi poznali, że są otoczeni i w tymże czasie Telembski na czele jazdy ukazuje się, uderza sokolim rzutem na działa i po krótkim oporze zdobywa. Jazda szwedzka przybywa swoim na pomoc, ale napróżno, rozbita, ucieka. Dwóch silnych drabantów wszakże przypierali Telembskiego, jeden z nich już wymierzył cios śmiertelny, gdy ugodzony w piersi kulą spadł na ziemię. Telembski chciał wiedzieć komu winien ocalenie, ten cios zbawczy, był z ręki nieznanego młodzieńca.

Szwedzi ciśnieni ze wszystkich stron napróżno bronili się z rozpaczą, padali setkami, a trupy ich podnosiły się wśród lasów jak dawne kurhany. — Karol XII spał konia i rzucił się naprzód zapamiętałe, ale koń ugodzony pada, a z nim postrach tyłu narodów, Karol. Odgłos zwycięski Kurpiów rozlega się w około, a plac boju, ten cmentarz tyłu ofiar, nieprzejrzone tumany dymu zakrały.

Zwycięstwo było zupełne, cała armia szwedzka zginęła, gdy w tejsze chwili dają znać Wojewodzinie, że tysiące Szwedów opanowało Cstrołękę i na cmentarzu kościelnym coraz się więcej warują. Działyńska zostawia Telembskiego, sama przywołaawszy nieznanego młodzieńca, pośpiesza ku miastu.

Szedł na czele oddziału Kurpiów borowy, ale po dwu milowej podróży kazał stanąć do odpoczynku; była już blisko północ, rozpalono ogniska.

Działyńska strudzona spoczywała pod rozłożystym dębem, rozwieszono dywany, które od wiatru i dymu chroniły. Nieznajomy młodzieniec usiadł przy najbliższym ognisku i pograżył się w głębokim dumaniu.

Szum wiatru przerywał tylko milczenie nocy, spokojność zalegała te lasy, co przed chwilą drżały od huków dział i strzelby. Borowy grzejąc się przy ognisku, rozprawiał o wczorajszej walce, gdy z nagłą głośny śmiech na pobliskim usłyszał drzewie:

“Sowa na dachu kwili  
Umrzeć komuś po chwili.”

— W imię Ojca i Syna! zawołał przerażony, zęgnął się ustawicznie i spluwając po trzy razy, mówił: “Idź w swoją drogę, djable, nie kuś poczciwej, katolickiej duszy”, ale śmiech trwał ciągle, a borowy nie śmiał oczu zwrócił w tamtą stronę.

Niedługo świtać zaczęło; Wojewodzina dała znak, ruszono dalej, przebyto na przygotowanych łodziach Narew i zbliżono się nieznacznie pod Ostrołękę.

Szwedzi na cmentarzu kościelnym mocno się obwarowali; drzwi zawałono, po oknach rozstawiono celniejszych findlandzkich strzelców, a gęste czaty nie dozwoliły raptownego napadu. Dowodził nimi pułkownik Rebinder, żołnierz dzielny i doświadczony.

Wszystko to rozważyła Działyńska, trzeba było walkę stoczyć otwartą, zaciętą, zdobywać mury warowne, a oddzielnie zdobywać kościół. Ale czas był drogi, Kurpie z okrzykiem poskoczyli naprzód i odrazu zbliżyli się pod same mury, dalej wszakże

postąpić nie mogli. Działyńska widzi zawady trudne, w jednej chwili natchniona szczęśliwą myślą wydaje nowe rozkazy; wkrótce ze stodół i obór miejskich Kurpie wynoszą duże pęki słomy i zboża i z tymi rzuciwszy się pod mury, darli się jakoby po drabinach. Walka była krwawa i wiele legło; pierwszy skoczył w środek cmentarza borowy, a z toporkiem w ręku rzucił się do bramy i zaczął wyrębywać, za nim stanął nieznajomy młodzieniec i pospieszył mu w pomoc.

Wygrabano wrota, Kurpie ze wszystkich stron wpadli, zdobyli kościół. Szwedzi po większej części wyginęli, resztę wzięto do niewoli. Rebinder potrafił wymknąć się z kościołka, już uchodził za murami, gdy go ujrzał i doścignął borowy, porwał niedźwiedzią siłą za kark, rzucił o ziemię, rozbroił i Wojewodzinie przedstawił.

— Jaśnie wielmożna pani! przyprowadziłem tu Szweda, co się chciał wymknąć jak piskorz, ale go pochwylił, widać, że to jakiś starszy.

Działyńska uprzejmie przyjęła pułkownika, co niezmiernie zdziwiło borowego, który nie żałował mu pięści swojej przed chwilą.

— Panie pułkowniku! rzekła, czuję jego położenie, ale los wojny zawsze jest nie pewny; Karol XII wczoraj go doznał na sobie, a dziś dopiero pan doznałeś.

— Jakto? zapytał z podziwieniem Rebinder, więc mój król zwyciężony?

— Zwyciężony, odpowiedziała Działyńska, jeśli nie wierzysz, oto trofea i wskazała na pięć sztandarów szwedzkich.



Poznał je Rebinder, przybiegł, a całując ze łzami zawołał:

— O mój królu! i umilkł, bo żal mu więcej mówić nie dozwolił.

Wojewodzina rzekła po chwili:

— Jesteś pan wolny, gdzie zechcesz, każę cię bezpiecznie odprowadzić.

— Gdzie mój król, chcę losy jego podzielać.

— Tam, odpowiedziała wskazując na niebo.

Rebinder zakrył rękami oczy, ażeby nie ukażać łez rzewnych przed wspaniałą niewiastą.

## VI.

“Uciekał każdy, kto uciekać mógł”.

Rękopism królewski.

Noc ciemna przerwała bójkę krwawą. Karol XII przedzierał się przez gęstwinę lasu, bez wojska, sam tylko, w towarzystwie przywiązanego drabanta, z Węgier rodem.

— Mercha cesta bassamazania! pomrukiwał Drabant i przeklinał zwyczajem swego narodu.

Karol wydostawszy się na małe pole, stanął na chwilę, zdjął swój kapelusz, zatarł włosów, poprawił bawolego pasa, obejrzał pistolety i wskazał na prawo, gdzie błyszczało małe światelko.

— To sem swieti sia u Sedlaka, czy Jego oswieconost chce....

Karol dał znak głową, że nie pójdzie do chaty, pokazał tylko, żeby mu co jeść przyniósł.

Drabant rzucił swoją burkę wyszywaną na ziemię pod sosnę. Karol usiadł zmordowany, sam przysporzył kroku spiesząc do chaty.

— Przekłęte zdarzenie! zawołał po chwili król

szwedzki. Najlepsze straciłem pułki, któż mógł przewidzieć, że chłopcy bez butów potrafią bić się tak dobrze i tak celnie strzelać, ale oddam im z nasypką; krwawo się pomszczę tej klęski!

Tymczasem drabant zbliżał się do chatki, lecz coraz zwalniał kroku; przed samymi drzwiami zatrzymał się z obawą, po chwili uderzył do drzwi rękojęścią pałasza.

— Najśłodsze Imię Jezus! kto tam? odezwał się bojaźliwy głos kobiecy.

— To sem ja.... niech raczą otworzyć dwery.

— Jašku, Jašku! tu pode drzwiami jakiś Szwed stoi.

Jasiek wyjrzał oknem a zobaczywszy drabanta, zapytał:

— A ile was tutaj?

— Sem ja jeden, paniczku.

Jasiek otworzył drzwi, a drabant wszedł bojaźliwie do izby.

Na kominie palił się wielki ogień, pod oknami stała ława, przed nią stół duży, nakryty białym płótnem i trzy misy. W rogu ściany obraz Matki Boskiej Częstochowskiej ubrany w kwiaty, przy nim obraz Matki Boskiej Gidelskiej, gdzie wieśniak wyorawszy cudowny wizerunek, uklęka wraz z wołmi; resztę ściany zdobiły rysunki rozmaitych świętych, widok czyśca i piekielnego ognia. W przeciwnej stronie wisiały na kołkach strzelba, borsucza torba i myśliwski kordelas.

— Chwalem Pana! odezwał się drabant kłaniając się nisko.

— Skąd Pan Bóg prowadzi? zapytał Jaško.

— My sem u Szwedów służym, pobili nas

dneska, my utiekali y przszli prosyt cy nimayu czem posilit hudnoho cłoweka.

— Dobrze wam skórę wytrzepaliśmy, nie prawda, rzekł śmiejąc się Jaśko, klepiąc po ramieniu drabanta. A wasz król zmykał jak zajac przed hartami. Schował się jednak i może śpiewa:

“Skrył się zajac pod miedzą,

“Myśliwi o nim nie wiedzą”.

— Ale niedługo i jego złapiemy. No cóż robić? Dajcie, matulu gorzałki, wszak się panie żołnierz napijecie.

— O! sem dobre, bo wielika zima, dajte, dajte palanku.

Małgorzata postawiła flaszkę wódki, rozweseliła się twarz Węgra, nalał kubek i wychylił od razu, siadł przy kominie, a trzymając ręce nad ogniem rzekł:

— Jako sem tu dobre ciepło, witorne wiwa. Jaśko tymczasem przyglądał się dziwnemu ubiorowi drabanta, a każdy jego szczegół uderzał go mocno.

Miał na sobie jedną kurtkę wdzianą na rękawy, wyszywaną w różne wzory czarnym sznurkiem, druga takąż sama zwieszona była z lewego ramienia, spodnie obcisłe równie wyszywane, buty krótkie ze srebrnymi frendlami u wierzchu, na boku z takimiż guzikami, pas skórzany, wielki pistolet i długi prosty pałasz. Na guziku od kurtki wisiał worek do tytoniu z białej skóry, haftowany w różne kwiaty jedwabiem. Za cholewą wysoka węgierska fajka z krótkim cybuchem.

— Sem oni dobre strelaju, rzekł po chwili Węgier.

— Tak wszyscy Kurpie umieją i wasz król byłby zginął, żeby z djabłem sprawy nie miał.

— Nasz kral sem dobry katolik.

— Co mi mówita, ma pas taki od djabła, co go kula nie ima; ale nasz borowy wystarał się o srebrny guzik, a takim nie tylko Szweda, ale i samego djabła zabije, kiedy wiatrem kręci.

W tem dały się słyszeć różne głosy przed chałtą, zmieszzał się drabant i nieznacznie sięgnął do pasa.

— Otóż nasz ojciec i borowy! zawołał Jaśko.

Węgier podniósł się z ławy; wszedł najprzód Stanisław Bąk, ojciec Jaśka, a za nim borowy, Kurp olbrzymiego wzrostu. Ubiór ich był jednakowy: kapelusze okrągłe, spodnie opięte, kurpie na nogach, na ramionach gunia kawowego koloru, podobna do góralskiej, na niej torba borsucza i strzelba, borowy miał przy boku szeroki kordelas.

Zdziwiła ich obecność nieznanego.

— Co to za Szwed, Jaśku! zapytał surowo borowy.

— Jakieś pocziwe to, ale umie trochę i po polsku, prosi o schronienie, służy u Szwedów.

— Trzebaby mu karku jak tamtym nakręcić, ale chce gościnności, jest bezpieczny, bo inaczej jakbyśmy się spotkali, nie miałby czasu i Jezus, Marya, Józef wymówić, a jużbym go zdusił; gdzie was więcej?

— Druhi sem sia ostali w lisi.

— Czemu nie przyszedł?

— Jak sem dozwolą to przyjde.

— No ruszaj do niego i powiedz niech przyjdzie, niech się niczego nie lęka, już wystrzelaliśmy

Szwedów, sam król uciekł, a na takich biedakach mścić się nie będziemy.

Węgier skłonił się, nałożył fajkę, zapalił i wyszedł, by sprowadzić do ciepłej izby Karola XII.

Stanisław Bąk zawiesił na kółku strzelbę i torbę, rzucił gunię i grzał się przy ogniu. Borowy podobnie się rozgościł, a dobywszy z pochwy obosiecznego kordelasa, rzekł:

— Patrzenie, Staśku! jeszcze krew po djable czerwonym bronił się tego, alem go zakłuł jak wieprza.

— A nasza pani jak dzielnie dowodziła, jak wołała na naszych!

— Mało co uszło i to mnie dziwi, że ci dwaj uciec mogli; ciekawym, czy to nie panowie starsi.

— Gdzie on tam pan starszy, rzekł Jaśko, gdyby on był pan starszy, toby mnie nie nazywał paniczem.

— To nie nie znaczy, głupi Zamorzec nie umie po polsku, a w strachu to i królem ciebie nazwie.

— Bójka była nie lada! zawołał borowy i naszych dużo legło, a widziałeś tego młodego na koniu, co był wszędzie najpierwszy, jakbym go widział teraz: wysoki, blady, nos duży, oczy wielkie, wszyscy mówili, że to sam król; strzelali nasi i strzelali, a żaden go nie trafił i ja nabiłem srebrnym guzikiem, zmierzyłem....

— I zabiłeś go? przerwał Jaśko.

— Wiem, że koń padł, ale on się porwał, nie widziałem go potem. Żałuję żem go wziął za nisko, trzeba było wyżej, pod lewe żebro, a byłby nie wstał.

— No! bez prace nie idą kołace! napijwa się

wódki, rzekł Bąk. Kujawa przejął mnie do kości.

— Ale ciepło było w ogniu, tam człowiek nie miał czasu myśleć, czy Kujawa wieje, czy słońce piecze.

Nalał sobie po tej przemowie szklanekę szumówki borowy i wlał od razu w ogromne gardło.

Małgorzata tymczasem krzątała się około wieczerzy, w dużym garnku nastawiła tatarczanej kaszy, osobno gajdaki, w rynce smarzyła kawał słoniny na omastę.

Jaśko przyniósł we wielkim dzbanie piwa i postawił na stole.

— Trzeba coś przysporzyć dla tych gości; usmarcziono Małgosiu kiełbasy, rzekł Bąk, a ty Jaśku przynieśta słomy, żeby się na czem przespali.

Jaśko poskoczył do stodoły, zarzucił na plecy dwa pęki słomy, przyniósł do izby, rozesał na ziemi. Małgorzata już usmarzyła kiełbasy, omaściła kaszę, Bąk położył duży bochenek chleba na stole, borowy napił się drugi raz wódki, wszyscy oczekiwali spodziewanych gości.

## VII.

“Staropolska jest to cnota,

“Przed gościem nie zamknąć wrota”.

Dołmaszy pospieszył do ubocznej kryjówki, gdzie odpoczywał strudzony Karol XII, co chwila oglądał się z niespokojnością poza siebie, czy kto go nie widzi; szedł prędko, nie miał nawet czasu wypalić swojej ulubionej fajki.

Noc jeszcze była, księżyc w pełnym przyświecał blasku.... nie długo stanął na miejscu.

— Oświecony kralu! rzekł, zdejmując swoją

wysoką czapkę, trafli sem na poczciwych sedlaków, tam sem prenocował w hostinie musim, Gazda dobry cłowiek prosili sem na noczku.

Karol nie wyrzekł słowa, wstał i postąpił naj-przód. Dołmaszy przywdział burkę rozesłaną na ziemi i szedł, wskazując drogę.

— Coś długo do djabła nie widać naszych gości, rzekł borowy, nalewając po trzeci raz szklanke wódki.

— Musiał daleko zostawić swego towarzysza, odpowiedział Bąk.

— Ja uważałem, odpowiedział Jaśko, że ten Zamorzec obrócił drogę ku mogile Upiora.

Święta Magdaleno! krzyknęła Małgorzata, on tam zdrowo nie wyjdzie, dyć to godzina, w której zwykle wylazi z mogiły i odstaąpiła bojaźliwie od komina, spoglądając w około.

— Pan Bóg z tobą, moja Małgosiu, powiedział Stanisław, w chacie nie macie się czego obawiać, wszakże drzwi nie przestąpi, bo na nich krzyż kredą święconą napisany, odstrasza przeklętych.

Uspokojona Małgorzata zbliżyła się znowu do komina i warząc wia mieszala kaszę omaszczoną słoniną, podgarnęła żarzących węgli pod rynkę, gdzie się smażyły kielbasy, gdy usłyszano poruszenie na podwórzu. Oskoczyła Małgorzata wylękniona, Jaśko spojrział bojaźliwie, podniósł się Stanisław z ławy, drzwi otworzył i ujrzał wchodzącego naprzód Węgra, a za nim króla szwedzkiego,

— Długośmy czekali, długo na was, rzekł Stanisław Bąk, ale co odłożone, to nie stracone, jeszcześmy nie rozpoczęli wieczerzy.

Karol skłonił głową, zdjął płaszcz i kapelusz.

Borowy stojąc w milczeniu, przypatrywał mu się uważnie. Miał on na sobie mundur granatowy, z dużymi miedzianymi guzikami, szeroki pas bawoli, spodnie łosie, ogromne buty. Para pistoletów i długie pałasz, składały całe uzbrojenie.

— No, Małgosiu! podajcie z komina, co dał Pan Bóg i prosząc gości zasiadł Stanisław na ławce, Karol przy nim zajął miejsce. Dołmaszy nie wiedząc gdzie usiąść, zostawał w kłopotcie, bał się przy królu, żeby go nie rozgniewał, stanął więc za nim z uszanowaniem. Karol to dostrzegł, surowo spojrział w oczy, porwał za rękę i posadził przy sobie.

— Matulu, a nie żałujcie Szwedów do kaszy, zawołał Jaśko, nadstawiając dużą miszkę.

Karol na ten wyraz Szwed zmarszczył czoło, Dołmaszy się uśmiechał.

Czy Jego Oświec.... król surowiej spojrział mu w oczy, zmiarkował Węgier i rzekł po chwili:

— Czy oni wiedia to sem slaninu, wołają Szwedy.

— Nie słoninę, ale skwarki po naszemu, bo to widzita, Szwedy dużo nam naskwarzyli biedy i dla tego u nas tak się zowią. Ale nie gniewajcie się o to, mój Jaśko dobry chłopak, ale sobie trochę głupi.

Jaśko z chichotaniem postawił na stole miszkę gorącej kaszy, każdy zabrał się do niej z apetytem i Karol nie długo myśląc, wziął drewnioną łyżkę i pożywał ze smakiem.

Borowy siedział naprzeciw króla szwedzkiego, wlepione miał ciągle oczy w twarz jego, uważał bacznie każde poruszenie. Po wieczerzy kiwnął na Stanisława i weszli do komory.

— Mój Staśku, rzekł zwolna, widzi mi się, że

to ten sam co to bywał na przodzie, com do niego strzelił srebrnym guzikim, może to król.

— I zdaje się wam kumie i ja go widział, ale ani krzty nie podobny.

— Gadata, gadata! pamiętam ci go dobrze, jakbym patrzył na niego, jak na swoim koniu się uwijał, jakiem go wziął na cel—na ziemię. A potem i pas taki szeroki, co gadają, że ma od djabła. Widziałeś, jakie na nim litery dziwaczne z kałamarnicy pisane. O że to sam król, dałbym za to szyję.

— A choćby i tak było! jest bezpieczny, zawierzył nam, przyszedł na noc posilić się, niech będzie i djabłem.

Wartałoby!... odpowiedział borowy i zamilkł, nie dodał i słowa. Stanisław Bąk kiwnął głową wychodząc z komory i rzekł:

— Będzie sobie spał spokojny, bo w mojej chacie, za domem róbcie co chcecie.

Na rozesłanej słomie położył się strudzony Karol XII i zasnął twardo nierozebrany wcale. Stanisław Bąk ze żoną, synem i borowym, spoczywali w komorze. Dołmaszy jeden czuwał, całą noc siedział na ławie przy kominie drżymał, palił fajkę i przykładał drewek na gasnący ogień.

### VIII.

“Imię nasze ochrzcił strach”

E. Brocki. (Pieśń Opryszków.)

W obszernej komnacie siedział zamyślony Szczuka, podkanclerzy litewski. Na wielkim kominie palił się ogień, przy nim ze założonymi w tył rękami grzał się podsiwiały Ordega.

— Co źle, to źle, panie bracie, rzekł Szczuka, pokręcając wężem, i jakże to było?

— Krótko a węzłowato. Najjaśniejszy król szwedzki z Torunia poszedł z wojskiem w lasy Mazowieckie. Kurpie, na których czele stanęła Pani Wojewodzina, podali mu warunki, których jeżeli nie przyjmie, nie puszczą go dalej, roześmiał się Karol i szedł na przebój, ale stracił w krwawej rozprawie wojsko wyborowe i sam jedni mówią, że zginął, drudzy, że ciężko raniony.

— Gdzież się teraz obraca? zawołał podkanclerzy, dobrze mówią, że fortuna non omnibus una.

— Fortuna, zwyczajnie jak fortuna, to jest białogłowa, na jej statek nie spuszcza się Waszmość; ś. p. rodzic zawsze mawiał:

“Co ci powie białogłowa,  
Pisz na bystrej wodzie słowa”

i ja to zawsze sobie przypominam, a myślę, że tak fortunie jako i niewieście zarówno zawierzaj.

— Dużo musiało nagiąć!

— Do ośmiu tysięcy Szwedów — odpowiedział Ordega.

— Do stu szatanów! krzyknął poruszony Szczuka, 7,000 miał Karol pod Narwą, gdy 80,000 Moskwy pobił, a tu!

— A tu miał rozprawę z chłopami bez butów, jak nazwał, ale z chłopami polskimi.

— Prawda, że każdy z nich dobrze strzela, ale cóż to znaczy przed wojskiem Karola XII.

— To znaczy, mój panie podkanclerzy, że jak weźmie na cel, to pewnie nie chybi. Sam widziałem, szło o zakład, napisał na desce podstarości pa-

ni Wojewodzinej A. S. R. to jest Augustus Secundus Rex; był tam borowy leśnikiem, jak nabił swoją mizerną strzelbę, w pół godziny trzy litery wyśadził.

— Długo się bili? zapytał znowu Szczuka, którego ta wiadomość więcej obchodziła.

— Blisko trzy dni trwała rozprawa, jeszcze się zwycięstwo chwiało, ale gdy Telembski, dworzanin pani wojewodzinej, zdobył pięć śmigownic, a ona sama wycięła regiment Szwedów na cmentarzu w Ostrołące, otoczeni zewsząd, co do nogi wyginać musieli.

— Ale gdzie król, gdzie król!

— Pan Bóg go święty raczy wiedzieć, gdzie się obraca.

— Mój Grzeško, fornał, co ongi za Łomżę jeździł, nasłuchał się dziwnych rzeczy.

— I cóż tedy mówią, co słyhać pewniejszego?

— Waszmość niespokojny o Najjaśniejszego króla Karola i mnie to obchodzi, otóż on gadał, co słyszał, że schwytać mieli, ale Deus omnipotens wyzwolić go raczył, że przestrzeloną ma rękę, że pięć kul trafiło go w brzuch, ale się o pas bawoli oparły i dla tego prostactwo rozgłasza, że ma pas od djabła, którego żadna kula nie przeszyje.

— Ale cóż u Boga, że takie wojsko oprzeć się im nie mogło!

— Nic dziwnego, bo ja znam zbliska Kurpiów, u nich życie jak ślina waży, a potem jaka przytomność! Był raz ogromny niedźwiedź, ale taki, że nie jego myśliwi, ale on strzelców szukał. Pamiętam, jeden gajowy miał coś czerwonego na kapeluszu; niedźwiedź z ponurym mrukiem, stanąwszy

na dwóch łapach tylnych, poskoczył do niego. Gdy się zbliżył na pięć może kroków, gajowy jeszcze podniósł dekel i zajrzał, czy dobra podsypka, zmierzzył i palnął, aż musiał w tył uskoczyć parę kroków, tak blisko zważyło się niedzwiedzisko, byłby go przydusił.

Szczuka zamyślony mało zważał na gawędzenie starego Ordegi, pokręcał węża zatopiony w dumaniach, po chwili rzekł z uśmiechem:

O zapewne, król August zechce kyrzostać z pomyslności, jak się dowie w swojej ucieczce, może myśli wrócić, ale nie tak łatwo! zawołał uderzając ręką w stół, dywanem tureckim zasłany.

— Dobrze mówią, widzisz Waszmość, że przez Wisłę przepłynął, na Dunajcu zginał i król Karól bił więcej żołnierzy, a pobity przez chłopów; jak to i mysz mała zaszkodzić może.

— Poprawi wszystko sam Najjaśniejszy Karol, aby się tylko z tych szponów niedzwiedzich wy dostał.

— Być może, odpowiedział Ordega, ale że go porządnie zadrapały, nie zapomni długo.

— Potrafi przyciąć szponów, a kaganiec na pysk włoży, rzekł rozgniewany Szczuka. Niedźwiedź, wiesz panie bracie, jak srogi w lesie, a złapanego cygany oprowadzają i tak tańczyć musi, jak mu zagrają i jak każą.

— Masz Waszmość racją, panie podkanclerzy, ale muszą się go obawiać zawsze, gdy albo okiełzają kaganiec lub też kółko przez nozdrze zasadzą, a na łańcuchu ciągną.

— Któż tymi chłopami więcej dowodził, czy tylko sama pani Wojewodzina? zapytał po chwili hamując się w uniesieniu.

— O niej tylko gadają i o Telebskim.

— To jakaś mała szlachcina, rzekł podkanclerzy z pogardą.

Stary Ordega obruszony, pokręcił siwego wąsa; Telebski był jego daleki krewny.

— Zapomniałeś, widzę W Mość, że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie; dawniej były lepsze czasy, a drwiono sobie z tytułów zagranicznych nieznano tych hrabiów, margrabiów, książąt i książątek; szlachcic zawsze szlachcicem i lepszy niż baron.

Coraz rumieniły się więcej policzki zmarszczone Ordegi; widział to Szczuka, krzyknął na hajduka, który wnet przyniósł kilka butelek węgryzna i puhar w kształcie lejka.

— Do was, panie bracie, rzekł Szczuka podnosząc w górę puhar, *concordia res parvae crescunt, discordia maximae dilabuntur*. Zgodą małe rzeczy rosną niezgodą wielkie giną.

Na to przyjazne wezwanie rozjaśniło się oblicze starego Ordegi, wychylił do dna podany puhar i już go miał stawiać na stole, gdy głośnie psów szczekanie na podwórku zwróciło ich uwagę.

— Czy goście jadą? zapytał Szczuka stojącego przy drzwiach hajduka.

Hajduk poskoczył i niedługo drzwi się na ścieżaj roztworzyły.

## IX.

“Zuchwały, kto ci to powiedział.”

J. Korzeniowski (Mnich.)

Podkanclerzy spojrzął z podziwieniem w otwarte podwoje; wysokiej postaci wszedł gość niespodziewany w płaszczu, śniegiem okrytym, za nim drugi, burką węgierską odziany. Pierwszy miał jeszcze na głowie trójgraniasty kapelusz, drugi już w sieni wysoką czapkę ze śniegu otrząsał. Pierwszy zrzucił płaszcz, a Szczuka wykrzyknął:

— Tyżeś to, N. Panie!

Karol XII postąpił do komina i nie zdejmując wcale swego kapelusza ogrzewał skostniałe ręce. Ordega ustawnie ukłony oddawał, podkanclerzy rozkazał przygotować wieczerzę. Dołmaszy stanął wyprężony przy drzwiach wchodowych.

— Panie podkanclerzy, rzekł Karol, potrzebuję dwóch posłańców, ale ludzi pewnych.

— W tej chwili dostawię, N. Panie.

— Kałamarz i pióro!

Po chwili siadł i krótkie rozkazy napisawszy oddał je wyznaczonym posłańcom, określając godzinę powrotu.

Karol znowu stanął przed kominem.

— Już wiesz o wszystkim zapewne, panie podkanclerzy?

— Tak jest, N. Panie! odpowiedział Szczuka z niskim ukłonem. Ale obawiam się...

— Ja się niczego nie obawiam, zawołał król szwedzki z gniewem; czy widział kto, żeby Karol XII zadrżał kiedy?

— Nie to miałem na myśli, N. Panie obawiam się, żeby z tak chwilowej niepomyślności nie chciał August korzystać.

— August! August! rzekł wolniej Karol kogo raz Karol strąci z tronu ten więcej nie trafi. Ale

bójka była nie lada, moi bili się jak lwy, aż miło wspomnieć, za sztandar mieli mój kapelusz, bo zawsze na przodzie. — Wymawiając te słowa chciał swoim zwyczajem zatrzeć włosy i dotknął kapelusza na głowie.

— A, przepraszam gospodarza, że tak niegrzecznie wszedł król szwedzki w uprzejmą gościnę. Zdjął z głowy, a oddając swemu Węgrowi.

— Otrząśnij ze śniegu.

Dołmaszy wszedł do sieni.

— Temu poczciwemu Węgrowi wiele winienem, wierny jak pies, w boju jak lew, głupi jak osioł.

Dołmaszy powrócił.

— No! mój towarzyszu, i tyś zmarł podobno, pogrzej się trochę, pogrzejmy się razem gdyśmy się razem bili i spali u tych chłopów bez butów.

— Jakto, N. Panie! i odważyłeś się przyjąć nocleg u tych Kurpiów, co ci do nogi wybili żołnierzy? zapytał Ordega zdziwiony.

— Tak, do nogi, co do nogi! krzyknął w gniewie Karol i tupnął mocno o ziemię, ale nie będę krolem, jeśli się krwawo nie zemszczę, że wnuki popamiętają, jak Karol XII mści się poniesionej klęski. O! żebym miał jeszcze z tysiąc moich!

— Taka liczba była w Ostrołęce i w okolicy, ale i tę wyciąć kazała Pani Wojewodzina. To Herod, jak mówią baba, połknęła djabła, N. Panie! rzekł swoim zwyczajem stary Ordega.

Szczuka zmarszczył czoło, okazując nieukontentowanie, a w oczach Karola błysnął ogień.

— I ci zginęli! krzyknął w największym gniewie, czemuż choć sto mężnych nie mam przy sobie! Zatarł włosów zrzucił duże rękawice, zaczął się

przechodzić wielkim krokiem po komnacie. Stary Ordega odurzony nagłym wybuchem gniewu króla, zamilkł i spokojnie stał w rogu stołu. Dołmaszy grzejąc się przy kominie pomrukiwał niekiedy:

— Basemteremtische! polineli, a sem dobre, tuhe chlapy byli!

Karol powoli z uniesienia ochłonął.

— Cóż to za jedna ta Pani Wojewodzina? zapytał z przyciskiem Szczuki.

— Jest to, N. Panie wdowa po wojewodzie Działyńskim, kobieta w młodym wieku.

— Nie ma jak lat 24, N. Panie, urodziła się Anno... i zaczął na palcach rachować po swojemu Ordega.

— Wielkie przeszkody mi stawiają, zawołał Karol z uśmiechem szyderskim — Baba, jedna baba i chłopcy bez butów!

— N. Panie, rzekł Szczuka, ja tylko dzięki Bogu składam, że W. K. Mość zdrowo z tego nie-szczęścia wprowadzić raczył.

— I szczęśliwie salwował! dodał Ordega z ukłonem.

Dziękuję ci, mój podkanclerzy, wiem iż dobrze i szczerze mi życzysz, dla tegom dom twój wybrał na pobyt chwilowy.

Trochę strudzony, chciałbym spocząć...

— N. Panie, już wszystko gotowe, i jeżeli W. K. Mość pozwoli, będę mu służył za przewodnika. I przeprowadził podkanclerzy Karola do sympialnej komnaty.

Odetchnął stary Ordega, nalał sobie puhar i rzekł do grzejącego się Dołmaszego przy kominie.

— Non est vinum, nisi Hungaricum! tak u nas



mawiają: widzę zeście z tego kraju, mój przyjacielu, skosztujcież krajowca.

— Ket sem raczy Pan Welkomożny i wychylił do dna podany puhar.

— A co? dobre? zapytał Ordega z uśmiechem.

— Sem to echt Tokajczyna, dobre, tuhe, chłopskie wino.

— Co ta się Naj. Król Jegomość gniewa? rzekł znowu głaszcząc łysinę.

— Ne znam pre czo ne dobry humor maje.

— Gdzieście to nocowali?

— U siedlaków, wczora sem sia bili, a dneska przenocowali.

— Że też nie złapali N. Pana; czy nic nie mówili, zapewne nie poznali.

— Ano, nie poznali sem krala, my społom na ławicu siedieli i jedli gromple... o tak, i usiadł na dużej kanapie obok Ordegi.

— A król nic wam nie mówił?

— My sem nie śmieli z kralom pospołusiedit, ale jako sem stanęli za nim, wziął za ruku i rozkazał społom siedit.

— To nie dziwię się, czemu Karola nie schwytałi, pomyślał sobie Ordega, bo się ukrył, to myśleli, że to jaki plebejus!... i popłókał znowu usta zachwalanym przez Węgra winem. Dołmaszy zbliżył się do komina i zaczął rozdmuchiwać przygaszony ogień.

Wkrótce nadszedł podkanclerzy, zawołał hajduka i rozkazał dać wszelką wygodę Węgrowi. Zostali sami z Ordega.

— Widzisz, Waszmość, król się gniewała miał

racyą; kto widział takie nieprzyjemne wspomnienia na pamięć przywozić.

— Errare humanum est! odpowiedział Ordega, jużem się sam na sam za to wykął; ale to zły jak dja... niedokończył wyrazu i uderzył się ręką w usta.

— Dzięki Bogu, że król wyszedł zdrowo! o, wszystko pójdzie inaczej, jeszcze nieprzyjaciele nasi wraz z Augustem zadrżą przed nami.

— To niezawodnie! pomruknął Ordega dopijając swego puhara.

— N. Pan tu zgromadza swoje siły i na nowo pogrozi światu! ja mam wiele do czynienia, muszę odejść; dobra noc, Waszmości.

— Dobra noc! rzekł Ordega odchodzącemu Szczuce, usiadł na kanapie i nalał puhar.

— Co złe, to złe znowu będzie, znowu bieda i zniszczenie kraju! tak mówił do siebie ciągle popijając węgrzyna; niejedna wieś spłonie, niejedna matka zapłacze. Ale rozprawa była nie lada, nie: przyjemno mu wspomnieć, ażeby pobił, tóby się chwalił i pan podkanclerzy rościł sobie pretensją; albo ja co winien, że N. Panu wytatarowali skórę? Ale mój Telebski chwatał chłopak... No, mój Boże! któżby się spodział, oto takie małe Bobo było, ale zawsze zuchowate. (Nalał znowu z butelki i zakosztował). Nieraz to z pałaszykiem drzewianem latało, jak kot z pęcherzem..! A teraz po polsku kurtę skroił... No, proszę pięć zdobyć śmigownic, to nie przekiwiał tego palcem. A i pani wojewodzina, niewiasta do rzeczy i chwatał sobie, a N. Pan gniewa się, jak mu wspomnieć, że skórę zgarbowali, że go pobiła baba i chłopcy bez butów.

Powoli węgrzyn zaczął działać na rumiane policzki starego Ordegi, pot kroplisty wystąpił, delikatny dymek nad łysiną się unosił, zamknął oczy, mocno chrapnął i zwiesił siwą głowę, w głębokim śnie pygrążony. Zagasł ogień na kominie, a ciemność całą zajęła komnatę.

## X.

“Marzył ruchome namioty,  
Z hukiem wysadzone mury;  
Błyski stalistej piechoty,  
Jazdy pośród pyłu chmury.”

Ludwik Kamiński.

Równy ze świtem już Karol XII nie spał, całą noc miał niespokojną, jeżeli zdrzymał, widział, jak przy jego boku najmężniejsi padają, śmiertelnym strzałem ujęci. Przez sen kilka razy jak na placu boju, wołał na swoich i rzucał się niespokojnie na łożu. Szczuka, który w przyległej czuwał komnacie, wszystko słyszył i uważał; o samej północy cały dziedziniec jego dworu napełniła jazda i piechota szwedzka, dowódcą tego oddziału był generał Steinflicht, który szczęśliwie wydostał się z ogólnej porażki. Podkanclerzy nie śmiał zbudzić Karola i donieść, że wojsko jego zbiera się zaczyna w oznaczone stanowisko; niedługo wszakże sam król go zawołał.

— Cóż słyhać, panie podkanclerzy, czy już przybyli moi?

— Tak jest, N. Panie, czekają dalszych rozkazów W. K. Mości.

— Któż nimi dowodzi?

— Jenerał Steinflicht.

— Dzięki Bogu, że wyszedł cały. niech tu przyjdzie, rzekł Karol i zaczął się przechodzić po komnacie.

— Steinflicht stanął na rozkazy. — Karol wesoło przystąpił do niego, a klepiąc go po ramieniu, rzekł:

— Przecież się wydostałeś z pazurów niedźwiedzich, ileś moich zgromadził?

— N. Panie, dwa regimenty piechoty, jeden jazdy i cztery śmigownice.

— Gdzie więcej?

— Za dwie lub trzy godziny nadciągnie reszta korpusów.

— Ileż tej reszty?

— Wydałem potrzebne już rozkazy, ażeby marsz przyspieszono, jest tam dziesięć regimentów piechoty, sześć jazdy i dziesięć dział.

— No, oddam teraz za swoje, rzekł Karol do siebie. Roześlesz zaraz silne patrole jazdy w okół; piechoty regiment zajmie Łomżę jak najprędzej, a wsparty dwoma śmigownicami niech się posuwa zwolna drogą ku Ostrołęce, reszta zostanie przy mnie. Jenerał pospieszył spełnić dane rozkazy.

— Jakież wiadomości o Augustacie? zapewne wiesz, gdzie się obraca?

— Tak jest, N. Panie, odpowiedział Szczuka, August jest niedaleko, u pani wojewodzinej.

— Tem lepiej! rzekł Karol, poznamy się z bliska.

— Szmigielski Starosta, ze znacznym poczem szlachty polskiej, przybył także wspierać Augusta stronę, coraz więcej zbiera pod sztandary swoje;

wieść o klęsce działała mocno na umysły wielu.

— Mało dba o to Karol XII, odpowiedział, wargi gryząc w gniewie, gdyby miał nawet tylko tyle swoich, ile tu i wskazał na dziedziniec, gdzie zgromadzona jazda i piechota była.

— August wydał rozkazy wojsku saskiemu, które spieszenie zajmuje korzystne w około stanowiska, sądzę....

— Karol zamyślił się chwilę i wybiegł prędko na podwórze, gdzie go wojsko z radosnymi powiłało okrzykami.

\* \* \*

— Małgosiu! Małgosiu! a cóż się nie odzywasz? milczy jak zaklęta! wołał Stanisław Bąk, nabijając swoje strzelbę.

— A czego chcecie? zapytała zadyszana, z gumna nadbiegając.

— Dajcie no pakul do torby, nie mam już ani trochy.

Nadszedł niedługo borowy.

— Coś nowego będzie, wielki ruch na naszym dworze, szlachty coraz więcej przybywa, a każdy strojny i zbrojny, mówią, że i nasz król, co go Szwed wygania, jest u naszej pani i chce dziękować Kurpiom, co skórę wygarbowali tym Zamorcom. We dworze bawić się będą, a tu nowa troska, czy wieta kumie, ten co tu nocował był król szwedzki, a my go puścili, oj! żebyśma tego nie pożałowali, a ja mówiłem, wziąć było panicza i oddać do dworu.

— Ale mój kumie to się nie godziło, i ja ze śmiałem czołem i naszemu królowi powiem: Jaśnie Wielmożny królu, prawda, spał u mnie król szwedzki, ale że to była moja chałupa, wydać się nie go-

dziło. Potem człek ma czyste sumienie i teraz myśli o czem innym.

Borowy nie odrzekł, obejrzał strzelbę i podsypkę.

— Ale, ale, we wsi gadają, że znowu bójka będzie (mówiła Małgorzata) że Szwedy znowu się zbierają i chcą mścić się na nas biedakach.

— Niech się dzieje wola Boska, toć i człowiek nie fryc do bitwy już powąchał prochu, a potem moja Małgosiu, nie tak łatwo im się po takiej frycówce i zebrać.

— Co ludzie gadają, mój kumie, to i wygadają; czy myślisz, rzekł coraz z większym zapałem borowy, że te czerwone djabły darują nam za krew przelaną, którejsmy tyle natoczyli, ile wody w Omulewie. Nie zapewne, głowa za głowę, krew, krwią się płaci; jeszcze nie raz borowy poświata ołowianą kulą, nim samemu, Bóg wie jaki koniec przypadnie. Co mówiła Małgorzata, to żywie Bóg prawda; już nasi wysłani na zwiady, widzieli jak się Szwedzy zgromadzają. Od Szczuczyna pokazało się jak kawek na słotę, piechoty i jazdy. mówili, że sam król nimi dowodzi, że przez Łomżę prosto na Ostrołkę ciągną, że bokiem zachodzą do Myszeńca. Pani nasza wysłała zaraz ze trzech wiosek naszych, by utrudzali na drodze, pojechało tam dosyć szlachty, ale dobrze mówią, że to panowie szlachta, jednemu wór, drugiemu płachta. Kończąc te słowa, uśmiechnął się szydersko; Jaśko nadbiegł w tej chwili zadyszany.

— W Dąbrowie biją na gwałt, pani kazała uderzyć we wsi każdej, gdzie tylko dzwonice, i żeby się zbierać zaraz; czerwone djabły uderzyli na na-

szych, już strzelanie ze dworu słyhać, pan podstarości, co wrócił z po za Ostrołęki, mówił, że się nasi tego trzymali, ale jak odjeżdżał, nie wie co dalej wypadło, ale od strzelania aż ziemia się trzęsła, wiadać, że armaty sprowadzili.

Borowemu ogniem zabłyły oczy.

A No dalej Staśku, w imię Boże, zapolujem! Hej dziatwa do broni!

Małgorzata zaczęła płakać; stojąc przy kominie o-cierała łzy fartuchem Stanisław Bąk rzekł z rozrzwieniem:

— Moja Małgosiu, płacz nic nie pomoże; miejmy w Bogu nadzieję, dajcie no tymczasem co do torby i wódki we flaszkę. Gdy Małgorzata odeszła do komory, Stanisław Bąk wziął Jaśka za rękę i rzekł z cicha:

— Uważaj dobrze, jak się będą czerwone djabły zbliżały, uprowadź matkę do Kwiczola, a wczesnie wynieść wszystko z chaty.

— I zapal ją potem, zawołał borowy, żeby Szwed nie znalazł dachu do spoczynku, gdzie przespał noc jedną ich pan, ich król, któregośmy mieli w łapie, a wypuścili.

Stanisław spojrział surowo. Małgorzata z płaczem wyszedłszy z komory, wypakowała torbę.

— No! komu w drogę to i czas! Bywajcie zdrowi, moja Małgosiu, Jaśko niech siedzi w domu.

Uściskał żonę, borowy ją pocałował i wyszli z chaty, a za nimi wybiegł Jaśko. Małgorzata skropiła ich wodą święconą i stojąc w progu ciągle żegnała, dopóki nie zniknęli w gęstym lesie. Wróciła do izby, usiadła na ławie:

O biednaż ja biedna sierota! zawołała i rzewnym

płaczem wciąż swoją boleść tymi głosiła wyrazy.

Tymczasem Jaśko odprowadziwszy ojca i borowego, pożegnał się z nimi, wrócił do chaty, ujrzał, jak matka zapaliła świecę woskową przed obrazem Panny Maryi Częstochowskiej, ukłękła i ze łzami się modliła. Rozrzwoniony odwrócił się do ściany, zapłakał, i w cichości sukmaną łzy otarł; wyszedł na podwórze, narąbał sośniny podłożył na komin, rozdmuchał ogień; Małgorzata wciąż się modliła.

## XI.

“Skoczył Kozak zarzał pod nim wrony”.

“Chrząst się ozwał, kopyta zagrzmiały.”

August Bielowski (Trójziele.)

— Gdzie się teraz obrócim? rzekł z cicha August II, wstrzymując konia do starosty Szmigielskiego.

— Zdaje się, Naj. Panie, że widzę łunę z ognisk, która się przez te gęste przedziera krzaki, sądzę, że to ogniska Szwedów, naszych w tej stronie nie ma.

— Cóż robić będziemy? zapytał król z niespokojnością.

— Zaraz sobie poradzim, odpowiedział starosta.

— Hryć zawołał na swego Kozaka.

Zbliżył się młody Kozak, wysmukłej postaci, twarzy przyjemnej, oczu bystrych i pełnych ognia.

— Wedrzyj się na tę sosnę i co ujrysz opowiedz.

Hryć zręcznie skoczył z konia, stanął pod sosną, zmierzył oczyma jej niemałą wysokość, przeżegnał się trzy razy i ze zręcznością wewiórki, wdarł się na sam wierzchołek.

— Jaka zręczność i siła! rzekł August.

— Nie dziwnego, N. Panie! od młodych lat wprawiają się Ukraińcy do tego, bo Tatarów doglądają ze szczytów drzew swoich.

Po niedługiej chwili Kozak szybko zsunął się ze sosny.

— Ogniska szwedzkie widać gęsto, i aż pod sam las dochodzą, a czaty w około blisko nas stoją.

— Co robić, co robić, no, radź mój starosto! rzekł król August.

— Audaces fortuna juvat! odpowiedział Szmigielski. Zatrzymaj się tu z Kozakiem, N. Panie, a ja dostanę języka.

Domawiając tych słów, spiął ostrogami swego karego, i ruszył wązką drożyną. August zsiadł z konia, i spoczął pod drzewem. Kozak trzymał jedną ręką za cugle konie, w drugiej przygotowany pistolet, i nasłuchiwał uważnie każdy szelest i każde poruszenie w lesie.

Szmigielski niedługo wyjechał z lasu, ujrzał drabanta na czatach konno stojącego z odwiedzioną rusznicą. Szybko zajechał mu z tyłu, w jednej chwili lotem błyskawicy natarł, olbrzymią siłą porywa za kark, sadza na swego konia i pędem na też samą dróżynę powraca.

Kozak z dala usłyszał chyże tętnienie i ostrzegł króla; porwał się August, dosiadł rumaka i zdobył szablą staję przygotowany. Lecz jakież było podziwienie Jego, gdy zamiast spodziewanego nieprzyjaciela, ujrzał w pędzie na jednym koniu szmigielskiego i zbladłego drabanta, który rusznicę z drzących rąk wypuścił.

— No! N. Panie! Szmigielski tak dostaje je-

zyka, zawołał, on nam teraz wszystko wyśpiewa i posłuży za przewodnika.

— Wieleś dokazał, panie starosto, z narażeniem życia, rzekł August.

— N. Panie! Szmigielski w obronie Waszej Królewskiej Mości nie raz to życie na szwank wystawiał! ale dobrze mówią: chłop strzela, Pan Bóg kulki nosi. Zsiadł z konia, rozbroił wybladłego jak Piotrowinę z grobu drabanta, i oddał pod straż swemu Kozakowi.

— Teraz niech raczy W. Król. Mość rozmówić się z tym Szwedem, on nam służyć musi za przewodnika.

August rozpytywał go o drogę, o sile Szwedów i gdzie Karol XII przebywa; drabant zaledwie mógł przebąkiwać ze strachu. Zniecierpliwiony starosta zawołał:

— N. Panie, tu nie wiele mamy czasu do straty, trzeba nam się wydobyć z tej przeklętej puszczy. Hryć! dobądź smyczy! i dał mu znak.

Kozak długiego dobył surowca, okręcił na szyi drabanta, wskoczył na konia, wyjechał naprzód, prowadząc przytoczonego Szweda, jak harta na polowanie.

Tą samą wązką ruszyli dróżyną, wkrótce las ciemny zaczął się rozrzedzać i widocznie okazały się rozpalone ogniska. Szmigielski z gotowym pistoletem na nogę następował prawie Szwedowi, który struchlały szedł wolniej lub prędzej, stósownie do rozkazu, wskazując wszakże wiadome sobie drogi, którymi bezpiecznie wyminąć można obozy.

Gęste krzaki i rozrosłe choiny kępiaste zakryły

im ogniska i pewniejszą wskazywały ochronę; pół mili z górą przedzierali się zaroślami, za nimi ukazały się rozległe błonia, wioska i dwór szlachecki.

— Moznaby już puścić naszego przewodnika, rzekł z uśmiechem August do Szmigielskiego.

— Naj. Panie! nie zupełnie, ja zostawię mego Kozaka przy nim, on nas dogoni; nieznacznie wypuścim ich naprzód i do wsi obrócimy drogę. Sam zbliżył się do Kozaka, z cicha słów kilka przemówił.

August dobył talarą, a dając drabantowi na słowo, zgiął go jak wosk w palcach. Szwed zadziwienie z bojaźnią okazał. Król się roześmiał, na powrot w palcach go wyprostował i rzucił, dodawszy jeszcze kilka w nastawiony kapelusz.

Hryć obejrzał się kilka razy, coraz więcej spieszył do wyniesionego pagórka, na środku którego dąb odwieczny szerokie rozciągnął konary. Widział kilka talarów u drabanta, wzięła go chętka, świsnął na swego Żmudzinka, który od razu jak wicher poskoczył. Szwed tym nagłym poruszeniem obalony, mając gwałtownie i silnie naciśnięte gardło, stracił przytomność. Kozak zatrzymał konia, zsiadł i sięgnął do kieszeni po talary, gdy usłyszał bliskie tętnienie kopyt; nie wiele miał czasu, zachwyconą zdobycz schował, skoczył na siodło i spokojnie dookoła. W dali ujrzał Augusta i starostę Szmigielskiego, dojeżdżających szybko do wsi, a w pobliżu siebie dziesięciu drabantów szwedzkich, którzy go zewsząd otaczali.

Kozak zwrócił chyżo na drogę do lasu wiodącą i uderzył na dwóch Szwedów, którzy mu zaskoczyli z tej strony: jednego powalił z konia, lecz wnet więcej nadciągnęło; nie miał już sposobu ratun-

ku, w około zabłysnęły szable wyostrzone nad głową, zeskakuje z konia, wymyka się zręcznie, wbiega w gęstwinę ciemnego lasu i wdiera się na wierzchołek sosny. Tam z boleścią widzi, jak jedni rzucili się za nim w pogoń, drudzy prowadzili jego Żmudzinka; byłby wszystko za niego oddał, bo nie miał droższego na świecie jak Paraszkę czarnobrewą, konia i szablę. — Łzy mu się zakręciły; w tem z radością patrzy, że Żmudziniek wydarł się Szwedom i z głośnym rzeniem poskoczył w stronę gęstwiny, gdzie pan jego się schronił. — Kozak zsunął się ze sosny, przypadł do ziemi i głośno zaświstał. Wkrótce trzask i szum gałęzi posłyszał, a niedługo i swego ujrzał Żmudzinka. Dosiada lekko siodła, przychyła się do grzywy i niknie jak błyskawica w nieprzejrzaną ciemność rozległej puszczy.

## XII.

“Przed gościem dusze i serce wylać.”

J. Woroniecz.

— Cóż nowego przywozisz, mój Stasiu? rzekł poufale Jan Grudczyński, starosta radomski, do przybyłego Stanisława Zienkiewicza, który stanął w rogu marmurowego kominka.

Zienkiewicz złożył na stole pakiet listów. Był to ulubieniec starosty, jego wychowanek, wziął go na swoją porękę, kiedy nie miał więcej nad 8 lub 9 lat; nie chciał się uczyć, tylko latał, piął się na drzewa, by wykręcać gniazda ptasze, żydom w miasteczku psoty robić, oto cała zabawa! Starosta kazał go uczyć, a że było to pacholeciem jeszcze zdane, więc łatwo się wszystkiego nauczył i został

prawą ręką Grudczyńskiego. — Najwięcej od następnego wypadku wpadł w szczególne jego łaski.

Przybył raz Grudczyński w podróży na Ukrainę do karczmy samotnej, wpośród rozległej puszczy. Że nie sposób było dalej jechać, bo noc zbyt późna, umyślił zanocować; niepodobieństwem zaś spać w izbie dla smrodu i zaduchu od kopy bachorów i nieczystości. Rozkazał sobie posłać w bliskiej stodole, zawołał Stasia ulubionego, ludziom czujność i baczność polecił.

O samej północy Staś usłyszał, że coś się przesuwają w zasięgu po sianie, zbudził Grudczyńskiego i ostrzegł; porwać się zaraz i uciekać, było rzeczą nierozsądną. Staś przewidział wszystko, cichaczem wymknął się i poleciał do karczmy, gdzie dworscy spali głębokim snem ujęci; przy samych wrotach obejrzał się i ujrzał, że za stodołą kilkadziesiąt koni stoi, budzi swoich bez hałasu, dworscy porywają żyda, każą mu milczeć, wszystko do wyjazdu w pogotowiu. sianie wypakowane, konie zaprzężone. Staś przemyślał, jakby wydobyć Grudczyńskiego, powraca więc nazad do stodoły i głośno daje znać staroście, że koń ulubiony, Gniadosz, zachorował i powalił się przy żłobie. Grudczyński w gwałtownym zrywa się z posłania, przywdziewa tylko sobolową delię i biegnie do karczmy. — Siada w przygotowane sianie, otwierają się drzwi na ścieżkę karczmy i starosta swobodny uchodzi.

Wszakże i zbójcy czuwali; chociaż widzieli 25 dworzan zbrojnych, dosiadają koni i spieszą w pogoń.

Grudczyński, doświadczony, rozkazuje, żeby nie razem, ale pojedynczo tylko odstrzeliwano; jakoż każdy strzał był skuteczny, bo przerzedzał bandę

łotrów; sam najzuchwalszych i najbliżej nacierających z pistoletów powalił. Tak ujechał mil dwie, nim znużeni rozbójnicy widząc, iż nic nie dokazają, a sami tracą towarzyszy, opuścili go i rozsypali się w gęstej puszczy. — Staś otulony futrem starosty, siedział mu w nogach i wyglądał często, każdy strzał celny ze strony dworzan widział i zaraz wołał:

— O! o! spadł z konia, o! coś dostał, bo krzyczy Jezus Marya Józef!

Od tego wypadku zostawał Zienkiewicz w jak największych łaskach, tem bardziej, że i chlubną szramę nad prawem okiem otrzymał, wspierając na sejmiku partycją starosty.

— I cóż z nowin mi powiesz przecie, zapytał znowu Grudczyński.

— Jaśnie Wielmożny Panie, wiele nowin, August zdetronizowany, nową elekcją prymas Radziejowski ogłosił.

Uśmiechnął się radośnie starosta, była to pożądana dla niego nowina.

— Miejsce elekcji, jak zwykle, mówił dalej Zienkiewicz, na polach pod Wołą. Najjaśniejszy król szwedzki stanął obozem o trzy mile pod Błoniem. — Elekcya odbyła się, królem ogłoszony Stanisław Leszczyński, wojewoda poznański.

Grudczyński uderzył w ręce.

— Chwała Bogu! zawołał z radością. August stracony! a X. J. Moś Kardynał?

— Nie zupełnie uradowany z tego wyboru; mówią, że chciał kogo innego obrać królem.

— Żeby pod niedołącznym sam rzeczą pospolitą rządził. O! znam go! znam go dobrze! chciał Sieniawskiego, hetmana, niedołącznego starca, by go za

nos wodził, ale Homo proponit, Deus disponit; wi-  
dać, że takie było przeznaczenie dla domu Le-  
szczyńskich, jak dla Sobieskich, by ród ich na tro-  
nie polskim zajaśniał.

— Mówią, że rozgniewał nawet na siebie pan  
kardynał Radziejowski i Najjaśniejszego króla szwedz-  
kiego.

— Cóż było tego powodem? zapytał starosta  
ciekawie.

— Przywołany do Karola XII. Prymas, zapy-  
tywany o zdanie nad niektórymi kandydatami  
do tronu, każdemu coś przymówił, każdemu łatkę  
przypiął. Naj. król szwedzki wymienił Leszczyń-  
skiego: Czy masz co i przeciw niemu? Nic. Naj.  
Panie, odpowiedział Radziejowski, tylko że młody.  
— I ja młody! zawołał w gniewie urażony Karol  
XII i grzejąc się w tej chwili przy kominie, odwrócił  
się i więcej nie chciał mówić.

— To dumę pana Radziejowskiego uraził, rzekł  
z głośnym uśmiechem Grudczyński.

— A jednak wiele usługiwał Karolowi XII.,  
mówił dalej Zienkiewicz, bo gdy knował zamysł  
zdetronizowania Augusta, zwabił pod innymi pozo-  
rami radnych panów do Warszawy, tymczasem  
wojskiem szwedzkim tak zręcznie wszystkie drogi  
osaczył, że z przybyłych żaden ujechać nie mógł i  
rad nie rad podpisał tak detronizacyjny.

— A koronacja Najjaśniejszego króla Stanisła-  
wa już odbyta?

— Tak jest, Jaśnie wielmożny Panie, odbyła  
się z całą świetnością i powagą we Warszawie; był  
jej przytomny Karol XII. Najjaśniejszy król wraz  
z dostojną małżonką ukoronowani w kościele kate-

dralnym św. Jana i złożyłem sam uszanowanie J.  
Wielmożnego Pana i oświadczenie, że z powodu  
słabości, która nie dozwoliła mu być obecnym na  
tym obchodzie, chociaż nie własną osobą składa  
swój hołd Jego Królewskiej Mości. — Karol XII.  
zaraz ruszył do Torunia, skąd miał przechodzić na  
Myszeniec i Ostrołękę.

— A ów August, ten ex-król, co porabia? za-  
pytał z ironicznym uśmiechem Grudczyński.

— August zbiera wojska, zapewne zechce pró-  
bować losu bitwy.

— Można mu zaśpiewać Requiescat in pace!  
całe wysilenie pana elektora saskiego, przeciw po-  
tędze i zwycięstwom Karola XII. będzie łyżką po  
obiedzie.

— Starosta Szmigielski jest przy jego boku ze  
znacznym zastępem szlachty polskiej.

— Pan starosta! zawołał z uniesieniem Grud-  
czyński, o! gdybyśmy się gdzie spotkać mogli.

W tem otworzyły się podwoje komnaty; wszedł  
naprzód pomieszany August II., a za nim starosta  
Szmigielski.

\* \* \*

Kilka kroków w tył usunął się Grudczyński,  
z podziwieniem spojrzął na Augusta, Szmigielskie-  
go zmierzył surowym wejrzeniem.

— Panie starosto! rzekł po chwili zmieszany  
August, żądam schronienia, Szwedzi w około.

— Masz nas, Waszmość w swoim ręku, zawołał  
Szmigielski, występując naprzód; zapewne wydasz  
Szwedom, gdyż Szmigielski nigdy nie dał się wziąć  
w niewolę, kiedy kord przy boku, odbierz go wasz-



mość! Tych słów domawiając, rzucił szablę pod nogi Grucezyńskiemu.

August zbliżył się, wziął za rękę starostę i rzekł:

— Przytulku i gościnności, wszak to polskie enoty?

Grucezyński przy nawale uczuć słowa wyrzec nie mógł, po chwili zaledwie odpowiedział, a pierwsze jego były do Szmigielskiego.

— Podnieś waszmość szablę, Grucezyński podłym być nie umie, a zwracając się do Augusta rzekł:

— Najjaśniejszy Panie! znalazłeś tu bezpieczne schronienie, po moim chyba trupie dostaną Szwedy osobę W. Kr. Mości.

August z wdzięcznością przycisnął rękę jego do serca.

— Prawda, mówił dalej, że oponentem W. Kr. Mości, ale Grucezyński jest tylko wrogiem w owartym polu, a Polakiem we własnym domu.

Szmigielski ochłonął z pierwszego uniesienia, a rozczulony szlachetnością starosty, przystąpił do niego i podał rękę. Przyjął ten znak uprzejmości i rzekł z nierozjaśnionym jeszcze czołem:

— Kto przejdzie próg mego domu temu przyjaźni, chociażby chwilowej nigdy nie odmawiam.

Dał znak Zienkiewiczowi, który bezzwłocznie opuścił komnatę, po chwili wszakże przybiega z doniesieniem, że liczny patrol szwedzki z pobliskiego obozu, już na podwórze zajechał. Grucezyński nie zmieszany wziął za rękę Augusta i poprowadził do alkowy, tam przy wielkim obrazie Jana Sobieskiego, jak pod Wiedniem uderza na hordy Turków i

Tatarów, poruszył sprężynę i drzwi nieznacznie otworzyły się zaraz. Ukazał się tam mały pokoik, do którego wprowadziwszy Augusta i Szmigielskiego rzekł:

— Tu jesteś bezpiecznym, N. Panie! ja odchodzę, by oddalić wszelkie podejrzenie; bądź spokojnym, bo Grucezyński daje swoje słowo.

Wszedł do sali, gdzie Zienkiewicz już przyjmował dowódcę patrolu, którym był młody podoficer Remer.

— Daruje pan starosta, rzekł z ukłonem uprzejmie do wchodzącego, że tu przybyliśmy, ale jesteśmy żołnierze, rozkazu ściśle dopełnić musimy.

— Cóż takiego? zapytał Grucezyński.

— Podług wszelkich poszłak, znajduje się w pobliżu król August; nasz drabant jeden pochwycony zdradziecko na czatach musiał mu służyć za przewodnika, mało życia nie utracił, a co szczególnie, że król August...

— Raczej ex-król, elektor saski, przerwał Grucezyński.

— Tak, tak, przepraszam, rzekł z uśmiechem Remer, zdradził się niechęć, bo dając kilka talarów na piwo, zgiął jeden jak wosk w palcach i wyprostował nazad, ale nie zupełnie; oto jest — i położył na stole talar znacznie wygięty; któżby to potrafił? jeden tylko August.

— Nie konieczne odpowiedział Zienkiewicz; starosta Szmigielski jest równie silny, bo na dzikiego konia jak wsiędzie, a ściśnię kolanami, to koń przykłąknie.

— A to on był zapewne z Augustem! zawołał Remer. To jest sztuczka, kiedy naszego drabanta

lwią siłą porwał z konia, na swego przesadził i uciekł.

A to zuch sobie, rzekł Grudczyński, śmiejąc się głośno; przyznam się, że nie radbym dostać się w takie pazurki.

— Niech go tylko złapiem, to cienko zaśpiewa; liczne patrole rozesłałem w około, chybaby do mysiej jamy się skryli, żebyśmy ich nie wynaleźli, a piękny byłby podarunek dla naszego pana, król August i pan starosta.

— Raczycie darować, wyrzekł z powagą starosta, że to moja godzina zwykła spoczynku, proszę się rozgościć, na niczem zbywać nie będzie. — Panie Stanisławie. wino i wieczerza.

Skłonił się nisko Remer, Grudczyński odszedł do sypialnej komnaty. Zienkiewicz krzyknął na hajduka, który wkrótce przyniósł kilka flasz wina. Remer odkasał pałasz, zdjął pas z pistoletami i usiadł we wielkim krześle starosty. Przyjął podany sobie puhar wina i do dna wychyliwszy, rzekł:

— A wiesz pan co, to nie złe wino! bodaj to piwnice panów polskich!

— Tak to mawiają, rzekł Zienkiewicz, że nigdy w Polsce nie zabraknie

“Żyta, lnu i pszenicy,  
I pełnej wina piwnicy.”

— Ale kto wie, czy długo śpiewać będziem tę piosneczkę, czy ją nasze dzieci jako prawdziwej przypowieści powtarzać nie będą?

— E! mój Panie! co tam o tem myśleć, ja nigdy o jutrze ani pomyślę nawet, bo co dziś, to moje, co jutro! tak każdy żołnierz myśleć musi, na co się truć goryczą! tu się troskasz, a tu kulka świnię i już kopyta na zawsze wyciągnął.

Zienkiewicz nalał drugi puhar.

— Śmiało pijcie, rzekł do Remera, bo to stare wino, a u nas mawiają: “Że stara księga, stara prawda i stare wino zawsze dobre.”

— Jest to wielka prawda, zgadzam się, na starą prawdę, a szczególnie stare wino, ale dziękuję za starą księgę; ja ani jednej w swoim życiu nie przeczytałem. Oto nasza księga! zawołał uderzając w leżący na stole pałasz, to księga, to prawda najlepsza.

Zienkiewicz z boleścią westchnął. O! biada! pomyślał, gdzie sama szabla prawdą będzie!

Niedługo i wieczerzę zastawiono: Remer zjadł smaczno, pił wiele, aż rozmarzony, nie skończywszy ulubionej piosnki, zasnął twardo.

Grudczyński ze sypialnej komnaty przeszedł cicho koło śpiącego Szweda i spojrzał na podwórze. Noc była ciemna, śnieg tylko na dachach biał, nadstawił ucha, milczenie.

— Jeszcze nie czas, rzekł do siebie i powrócił do alkowy.

### XIII.

Stanisław Bąk i borowy najbliższymi dróżynami dochodzili pod Ostrołękę, im więcej się zbliżali, coraz wyraźniej huk ręcznej broni i działowy słyszeli.

— Spieszmy, Staśku! spieszmy, żeby nie zapaść ciepłych gruszek w popiele, zawołał borowy, przysparzając kroku, odetchnę swobodniej, jak choć z jednego Szweda duszę podaruję djabłu na ofiarę. Właśnie wyszli z lasu, ujrzeli na czystem polu rozwinione szeregi Karola XII. Kurpie bronili się

zacięcie przy wiatraku i we wsi między opłotkami.

— Czy widzisz! wykrzyknął ze zapałem borowy, nasi jeszcze we wsi trzepią czerwonym diablom skórę. Hurra na nich! I rzucił się naprzód z przygotowaną strzelbą, ale w tej chwili dwóch drabantów szwedzkich ujrzał tak blisko siebie, że nie miał czasu wystrzelić.

— Uważniejszy Stanisław Bąk zmierzył, a z polyskiem na panewce zwałił jednego z konia; drugi chciał uciec, ale borowy, który przed cięciem pałasza przypadł do ziemi, nagle się rzucił, porwał olbrzymią siłą za nogę i ściągnął z konia; rozjątrzony wymierzył cios w czoło Szweda. Bąk przybiegł, chciał uratować drabanta, ale zapóźno: przytrzymał tylko konia, gdzie spodziewał się łupu bogatego.

Tymczasem Karol XII parł coraz więcej Kurpiów, osadzonych między opłotkami i we wiatraku, ale wszędzie dzielny znajdował opór. Napróżno jazda szwedzka w całym pędzie chciała się przedrzeć, każde uderzenie własnymi opłacała trupami. Los przechylił się na stronę szczęśliwego Karola XII; potrafiiono zapalić wiatrak i wioskę, które służyły Kurpiom dotąd za ochronę, w ówczas ci z jednej strony skwarzeni pożarem, z drugiej przyciskani od wiele liczniejszych wrogów, musieli ustępować na czyste pola, gdzie widzieli zgubę i od jazdy i od kul działowych. Ale nie stracili odwagi, w porządku, wśród gradu kul opuszczali wioskę i wiatrak.

Czekał tylko na to Karol XII; Zaledwie na polu się ukazali, jazda szwedzka ich okoliła; już byli zgubieni, w tym wrzawa w pobliżu powstała; na zu-

chwałych pewnem zwycięstwem uderzył Telembski na czele 200 szlachty. Zmieszani chwiać się zaczęli, z czego korzystając Kurpie, uszli zagłady.

Telembski widzi zamieszanie, umie korzystać; zachęca swoich i z głośnym okrzykiem uderza na ośm szmigownic, których ogień najwięcej raził, zdobywa je w jednej chwili, Szwedzi uciekają.

Wszystko to uważał borowy i Stanisław Bąk, ale sami oddzieleni, bojąc się napadu jazdy licznej, zaczajeni za krzakami, celnymi strzały przerzedzali wrogów; widzieli napad śmiały Telembskiego, widzieli jako od razu działa umilkły w tamtej stronie, gdy z nagłą widzą popłoch pomiędzy swoimi, widzą z boleścią, że zwyciężają Szwedy. Karol XII. bowiem, skoro ujrzał zdobyte działa śmiałym napadem Telembskiego, sam uderza, na czele jazdy nic mu się oprzeć nie mogło, odbiera armaty, a Telembski, cięty od niego w ramię pałaszem zaledwie uniesiony przez swoich.

Już nie było nadziei poprawienia losu bitwy. Kurpie rozsypani ginęli pod szabłami Szwedów, jazda polska w rozsypce znalazła ochronę. Stanisław Bąk i borowy chyłkiem do pobliskiego lasu uciekali. Tam przyczajeni w gąszczu, zmordowani, spoczęli. Karol XII otrzymał pole bitwy i kazał ściegać zwyciężonych.

Telembski ciężko ranny, zaledwie oddychał osłabiony krwi upływem; trzymał go w swoim objęciu Jan Huczko, przywiązany szczególniej pacholek, który go prawie na rękę wypiastował i wszędzie nieodstępnie towarzyszył. Przewieszony na koniu omdlał; nieczuł żalu z wydartego zwycięstwa, nie czuł boleści z odniesionej rany.

Huczko tak dowiózł swego pana, aż na podwórze Wojewodziny działuńskiej; ujrzeni dworzanie rannego, poskoczyli, i zanieśli do sypialnej komnaty na wygodne łożo.

Twarz wybladła, cały krwią zbryzgany, oczy zamknięte; bez przytomności leżał Telebski, przy nim stała sama Wojewodzina i z wlepionymi oczyma wpatrywała się w oblicze młodzieńca. Po wielu trudach i trzeźwieniu, otworzył oczy i westchnął.

— Żyje! zawołała w uniesieniu radości Działuńska, żyje! i przyłożyła mu rękę do serca.

Przywołany lekarz zalecił jak największą spokojność słabemu; opatrzył ranę i uspokoił troskliwość Wojewodziny, że nie jest groźną.

Działuńska usiadła przy łożu słabego ze zamysleniem, kilka razy westchnęła z boleścią, a najczęściej przykładając mu rękę do serca mówiła do siebie:

— Bije, ale jakże słabo! o! gdyby tylko chociaż tyle dla mnie!

Karol XII po odniesionem zwycięstwie dojeżdżał do wiatraka, który jeszcze cały był w płomieniach, przy domku młynarza stało 30 Kurpiów wziętych w niewolę.

— Tych chłopów bez butów wywieszać co do jednego, zawołał z gniewem. No! czego stoicie! krzyknął w uniesieniu na swoich. Karol nie powtarza rozkazu! Tu na wierzbie po jednemu, a gdy zabraknie miejsca na stryczek niech spróbują jak teraz ciepło we wiatraku.

Zachęczone żołdactwo rzuciło się jak psy wściekłe na bezbronnych Kurpiów; w jednej chwili kilkunastu wisiało, na drzewie, dwóm związali ręce i

nogi, a rozbujawszy z początku, rzucili w płomień; jęk nieszczęśliwych męczenników pobudził zbójów do śmiechu, po jednemu wybierali, a rzucając losy dla rozrywki albo na drzewie powiesili, lub żywcem na pastwę płomieni rzucali.

Nad wieczorem zagaśł ogień, gdy cały wiatrak spłonął. Karol XII przejeżdżał znowu, przypatrywał się powieszonym Kurpiom w tym końcu się potyka mocno, spojrzął Karol na ziemię i ujrzał, że zdeptał ciało Kurpia spalonego na węgiel, którego trup jeszcze zawadził mu w drodze.

Koniec Tomu pierwszego.



## Tom II.

## XIV.

Nadaremnie wczoraj rano  
 Oddalony huk słyszano;  
 Kto do ziemi przytknął ucho,  
 Słyszał odgłos po odgłosie.  
 Jak rozszerzał się po rosie,  
 Jakby z piekieł jęczał głucho,  
 Coraz mocniej, coraz groźniej.

Alęks. hr. Fredro (Obrona Olsztyna).

August II. i Szmigielski, wspaniale przyjęci u szlachetnego Grudczyńskiego i aż do granicy dóbr jego odprowadzeni. Przy samym kopcu granicznym zatrzymał się Grudczyński, uchylił z uszanowaniem czapki i rzekł do króla:

— N. Panie! dotąd byłem oponentem W. K. Mci, będę i dalej, bo stoję przy sprawie nowego króla Najjaśniejszego Stanisława I., ale żądałeś schronienia w moim domu, dotrzymałem danego słowa, oto jest pewny przewodnik, wskazując na zaufałego Stanisława Zienkiewicza, on W. K. Mość odprowadzi, gdzie tylko zażadasz.

August ścisnął rękę wojewody.

Tu! rzekł pokazując na serce, tu pamiątka i wdzięczność dla was; może jeszcze August znajdzie kiedy sposobność odświeżenia się wzajemnie.

Panie wojewodo! zawołał ze szczerotą Szmigielski i my czuć umiemy Waszą wspaniałomyślność! Podaj prawicę, a chociaż każdy z nas innej służy

sprawie, przecież nawzajem kochać się możemy; i zbliżył się do Grudczyńskiego, który z rozjaśnionem czołem podając mu rękę rzekł:

— Zapomnijmy o dawnych zająciach, niechaj zaginą jak kamień we wodzie. Znajdziemy się jeszcze tam, gdzie wspólnie dla nas droga sława, zawoła każdego. Zwrócił konia i pojechał drożyną do dworu wiodącą. Zienkiewicz poprzedzając Augusta i Szmigielskiego, prowadził ich krętą ścieżką, albowiem niebezpieczeństwo niezupełnie przeminęło, patrole szwedzkie ukazywały się jeszcze niekiedy.

Był lasek rzadki brzoźowy, a za nim szerokie pola; jeszcze go nie przejechali, gdy z dala ujrzeli jeźdźca na koniu, który w całym biegu pędził i cęś na długiej smyczy ciągnął za sobą. Wstrzymali konie, ukryli się w lesie; jeździec dążył spiesznie do brzeziny i co chwila oglądał się po za siebie. Koń był okryty białą pianą, zadyszany.—Zaledwie zbliżył się do lasu, gdy starosta wykrzyknął:

— To mój Hryć! a co on tu robi? i głośno zawołał na niego.

Kozak poznał głos swego pana; z radością przybiegł, ciągnąc na owej długiej smyczy już zaduszonego Szweda.

— Dlaczegoś go zadusił? rzekł surowo Szmigielski, kiedym ci zalecił puścić wolno.

— Ale to nie ten sam Szwed, to inny, o, niech no jaśnie wielmożny pan spojrzy, tamten miał szramę na pysku, a to gładysz zupełny.

— Cóż się z tamtym zrobiło?

— Puściłem go, ale zwołał swoich obskoczyli mnie, ledwiem uciekł, już i mego Żmudzinka pochwytili, ale im się dzięki Bogu wydarł.— Jechałem

sobie szukać jaśnie wielmożnego pana, aż tu ten Szwed stoi na koniu, a minąć ani sposobu; jakby na naszych stepach dzikiego konia na harkan pochwytiłem, ściągnąłem i dalej w nogi. Ale tęgie strzelanie od Myszeńca i Ostrołęki słychać było, mówili tam nasi w jednej karczmie, że król szwedzki zabity, a wojsko jego całe; co do nogi wystrzelane w lasach mazowieckich.

— A więc się sprawdza coraz więcej, rzekł z cicha Szmigielski do Augusta; nasza bohaterka ten mur żelazny rozbiła.

— Dzięki niech będą Bogu! z westchnieniem odpowiedział August, fortuna sprzyjać nam zaczyna, daj Boże, żeby była stalszą, niż pleć, do której należy.

— N. Panie, przecie nie możesz narzekać na białogłowy, do których tyle masz szczęścia, nawet tak trudne Hiszpanki.

— Ach, nie skończ; mój kochany starosto, to wspomnienie rani moje serce.

W istocie, miłość Augusta, o której Szmigielski wspomniał, należała do pierwszych lat wiosny życia, a okropny koniec tej, która była przedmiotem przywiązania wówczas jeszcze księcia, bolesne obudzał uczucia w duszy Augusta.

Młody August bawił w Madrycie, głośny bogactwy, urodą i olbrzymią siłą. Właśnie wyprawiano ulubioną Hiszpanom walkę byków; wiele z nich już padło z ręki zapłaconych szermierzów, ale jeden rozszrony i zajadły, powalił kilku, resztę rozpedził i z lekką tylko raną na czole, biegał wściekły w pośród zamkniętych szranków. Nikt nie śmiał wystąpić do walki z rozszronym bykiem;

długi czas trwało głębokie milczenie; wtem z amfiteatru zstępuje dorodny młodzieniec, a porwawszy od szermierza miecz i szal czerwony, otwiera śmiało wrota i wchodzi na środek placu. Zwierz dziki ujrzał go, zaiskrzyły mu się oczy i z głośnym rykiem uderza na zuchwałego młodzieńca, który dla rozjątrzenia byka powiewał czerwonym szalem. Jednym rzutem staje przy nim i zdawało się, że już go porwał na rogi.

Przestrach na twarzach obecnych widać było; ale krzyk przeraźliwy w jednej stronie z nagłą usłyszano. Był to głos donny Maryi, która widząc śmierć niechybną odważnego młodzieńca, zemdłała. Ale jej trwoga była daremną, bo przytomny rzucił szal na głowę zwierza, zasłania nim oczy, sam uskakuje i jednym zamachem obosiecznego miecza łeb ucina. Wytryska krew strumieniem z grubego karku byka, jeszcze stał chwilę i powalił się na piasek. Ze wszystkich stron głośnie wzniosły się okrzyki i radosne klaskania, młodzieniec otworzył bramę i jako zwycięzca opuścił szranki. Tym młodzieńcem był August; słyszał on krzyk przeraźliwy donny Maryi, chciał ją poznać, poznał i ukochał.

Miłość jego nie chciała widzieć żadnych przeszkód, którychby przełamać nie mógł. Donna Marya była małżonką znakomitego Hiszpana, który ją kochał, a kochał ze szaloną zazdrością. August za pomocą Włocha, co roznosił sałatę i służącej, tyle ich zabiegami dokazał, iż we własnym domu jej męża widywał się z nią nieraz.

Dostrzegł to Hiszpan zazdrosny, widział, że niewinna i cnotliwa dotąd donna Marya, nie mogła się oprzeć Augustowi; wściekły nasadza zbójców

przy wejściu do ogrodu, ale silny i zręczny książę za ledwie z raną mógł się z ich rąku wydobyć. — Hiszpan przypada do sypialni swej żony, służąca sztyletem przebija, a gdy ta krwią zbroczona tarza się po podłodze, z uśmiechem szatana podaje młodą Maryi do wyboru sztylet lub truciznę. Nieszczęśliwa wybiera drugą i w okropnej męczarni umiera. Hiszpan traci zmysły, w szaleństwie unosi trupa tyle kochanej żony do ogrodu, tam grób wykopuje, grzebie jej zwłoki i z szablą dobytą strzeże, ażeby szczęśliwy kochanek nie wydobył tego skarbu. Trzy dni bez pokarmu czatował, osłabiony wczłgał się napowrót do sypialni. Tam leżał trup służącej i niedokończony przez Maryą puhar trucizny, wypił resztę, stał w oknie otwartem z wlepionymi oczyma na mogiłę żony. Jeszcze trucizna działać nie zaczęła, gdy zdało mu się, że dojrzał z ciemnej alei Augusta. — To on krzyknął, wyskoczył oknem i padł na trawnik bez duszy.

Dowiedział się o wszystkim August i natychmiast opuścił Hiszpanią. Pamięci jednakże nieszczęśliwej donny Maryi niczem zatrzeć nie mógł i chociaż teraz zakochany był w pani Orzelskiej, dla której we Warszawie pyzny pałac w cztery tygodnie wystawił i ozdobił, wspomnienie pierwszej miłości smutne obudzało uczucia.

Dostrzegł to Szmigielski i na inny przedmiot zwrócił uwagę.

Zienkiewicz w milczeniu przysłuchiwał się o powiadaniu Kozaka, zadrzał, usłyszawszy o klęsce Karola.

— W której stronie słyszałeś wystrzały? zapytał starosta Hrycia.

— Zdaje się, że stąd i wskazał na ciemne bory, na prawo; widać, że grzmiało tam dobrze, bo leśnicy mówili, że gruby zwierz stadami z legowisk uciekał.

— Ile mil do Myszeńca? rzekł August, obracając się do Zienkiewicza.

— N. Panie, pięć dobrych stąd liczymy, na 12tą godzinę będziemy mogli stanąć, ale tu w krzakach spocząć musim, gdyż trzeba przejrzeć przesmyk pola, czy się nie kręcą Szwedy.

Ukryli się w krzakach; Zienkiewicz pospieszył nieznaczną drożyną, Kozak wyczołgał się na brzuchu na piaskowaty wzgórek, zwany "Djabli taniec" i sokolem okiem pozierał w około. August i Szmigielski pod płaczącą brzozą w milczeniu stali: August myślał jeszcze o domu Maryi; starosta na dobytej szabli rachował szczyrby, z których każda przypominała mu oddzielną walką i zwycięstwa.

## XV.

"Dawaj kielich lej głębi,

"Niech się serce odziębi.

"Niech krew, winem rozżarzę, i spalę!  
Dominik Magnuszewski (Radziejowskiej).

— Już ucichło wszystko, podnosząc się z gęstwiny, rzekł borowy do Stanisława Bąka. Czerwone djabły pognali w inne strony; trzeba nam pójść wyżarami, a tam nas i ogary nie wytropią.

Darli się przez gęste zarośla, ledwie wyszli na drożynę wąską, usłyszeli jęk bolesny; niedaleko leżał Jonek Łopucha, kulą mając przestrzeloną nogę i omdlały Kwiczol, trzy razy cięty pałaszem w głowę.

— O moje biedactwo! jak się to tyra, ani opatrzenia ani pomocy! zawołał z boleścią Stanisław. No! kumie, weźta Kwiczola na siebie, a ja podźwigam Jonka do chaty.

Borowy jakby małe dziecię wziął na ręce Kwiczola, Stanisław na barkach przewieszono go unosił Łopuchę. Kilka razy spoczywali nim doszli do chaty, gdzie na rozesłanej słomie, dla Karola XII przyniesionej, złożyli rannych Kurpiów.

Małgorzata już uspokojona, że mąż wrócił zdrowo, krzątała się skwapliwie, by ulgę przynieść jakową słabym.—Otrzeźwiła Kwiczola, zawięła rany, i przyłożyła znajome zioła, ale rany były głębokie, to zwróciło jej uwagę i rzekła do borowego:

— Mój kumie, czyby nie lepiej przywołać starej Maciejowej, ona umie zażegnać, to się zaraz zgoi.

— Niech przyjdzie i djabeł, albo sam Twardowski, a nietylko ta stara czarownica, aby pomogli, odpowiedział z gniewem borowy; dużo będzie miała do roboty, bo dużo nakaleczyli naszych, te czerwone djabły.

— Zdaje się lepiej, zawołajcie Pastuchę z Dąbrowy, to człek pobożny, zna się na ziółkach; nie wdawać się z czarownicą, bo zawsze kto z Bogiem to i Bóg z nim.

— Zapewne macie słusność mój kumie, rzekł borowy do Stanisława, im może ostatnia godzina niedaleka, ta z Bogiem trzeba się pojednać, a chcecie czarownice sprowadzać, żeby djabłu dusze niewinne oddała, alboż jej nie znacie, wszak ci to całe wesele Łońskiego roku niedaleko stąd we wilkołaki zamieniła.

— Prawdać, to prawda, odpowiedziała na dowody borowego Małgorzata ze zamysleniem; to posłę Jaśka po Pastuchę, albo co?

— Jaśku! Jaśku! pokłońta się staremu z Dąbrowy i prośta niech poratuje biedaków.

Jaśko wsiadł na konia, żeby prędzej doleciał do wsi.

— A widzita kumie, rzekł po chwili borowy do Stanisława, jak nam na złe wyszło, żeśmy wypuścili króla, spał na tej słomie, gdzie teraz krew naszych ciecze.

— Toć to był król! zawołała z podziwieniem Małgorzata załamując ręce; a on tak wyglądał, jak inny człowiek!

— I widać, rzekł z uśmiechem Stanisław, że mojej Małgosi przyprawy, smakowały mu gajdaki i kiełbasy, bo zajadał dobrze.

— Może się za to odsłuży wam, kumie; na noc, wieczystą i posłanie na cmentarzu, za gajdaki kule, a za kiełbasy smaczne, postronek na szyję. Mówiąc te słowa, ciężko odetchnął borowy.

— Bogu tylko wiadomo, jaki koniec nam przecznył, niech się stanie święta Jego wola!

Borowy nic na to nie odrzekł Stanisławowi, zbliżył się do rannych.

— Przecie usnęli, niech spoczną sobie, ale byli w djabelnym tańcu.—No! ja idę zajrzeć, co się doma dzieje, bywajcie zdrowi!

Zarzucił strzelbę na plecy i poszedł w las nieprzejrzany.

Tymczasem rozbici Kurpie roznieśli przestrich i trwoję. Niedługo w całej okolicy głośno mówiono o przegranej. Z boleścią dowiedziała się Wo-



jewodzina, ale nie upadła na duchu i męstwie. Ta-  
iła wszelako przed Telembskim, ażeby nie pogor-  
szyć zmartwieniem stanu rannego.

Nieznajomy młodzieniec, który tyle odwagi  
pokazał w pierwszym zwycięstwie i pobiciu Karola  
XII i później w zdobyciu cmentarza ostrołęckiego,  
zamyślony siedział na wielkiej sali i pierwszy raz  
ogromny od razu wychylił puhar pełny starego wę-  
grzyna; przeszedł się kilka razy, znowu podstawił  
próżny do czopka srebrnej beczki, napełnił i wypił.

— Ona go kocha! zawołał gniewny, kocha!  
siedzi nad łożem, pielęgnuje; a gdyby mnie kula  
pierś rozdarła, czyżby westchnęła, zapłakała? A  
widziałem, jak go przynieśli omdlałego, łyzy w jej  
oczach! O! czemuż w boju nie ległem, byłbym  
szczęśliwy, nie tyle cierpiał, a teraz....

Przeszedł się znowu wielkimi krokami i na-  
pełnił puhar, ale wstrzymał się, postawił go na stole  
ze zamyśleniem.

— Chcę się upić, stracić zmysły, żebym nie  
czuł! Lecz cóż ona powie gdy ujrzy, pierwszy raz  
w życiu zalanego trunkiem, co przez wino traci  
przytomność? Precz odemnie! i rzucił puhar ze  
stołu.

— Gdyby widziała moje cierpienia, troski i  
szaleństwa, może by się ich litowała.  
Może nie wie o mojej miłości?

Ta uwaga go zastanowiła, ale po chwili rzekł  
z gorzkim uśmiechem:

— Nie wie! razem prawie chowaliśmy się, ra-  
zem wzrastali; wiedziała dawniej, nim została panią  
Wojewodzina! Oddaliłem się z tych miejsc smu-  
tnych; tyle lat, teraz wdowa, znowu swobodna,

wolna kajdan małżeńskich, jam jej nie zapomniał,  
nie mógł, kocham jak dawniej, nawet więcej, a ona!

Zakrył twarz rękami i rzewnie jak dziecię  
zapłakał.

— I czegoż piskłę płaczesz? Czyś jej mówił,  
czy widzi łyzy twoje? Widzę, że kocha innego, a tu  
siedzę jak przykuty!...

W tem odgłos trąb, przybyłych nowych cho-  
ragwi, obudził młodzieńca z dzikich marzeń. Krew  
w nim zawrzała, pochwycił za kord krzywy, serce  
biło mocniej, w tej chwili oddychał tylko wojną!

### XVI.

“Do rana trwała biesiada i gwary,  
‘Weselne wczasy przerwał giermek młody;  
‘Hej Duka-Leko! rozwijaj sztandary!  
‘Przeczytał kartę, skończyły się gody.”

August Bielowski (Pieśni serbskie).

Na dworze u Wojewodziny Działyńskiej. brzmia-  
ła muzyka, wielka sala jadalna przepelniona była  
zebraną szlachtą i znakomitymi panami.—Przy du-  
żym stole siedział król August, przy nim z jednej  
strony Wojewodzina, z drugiej Szmigielski; dalej  
nieznajomy młodzieniec, naprzeciw osłabiony jeszcze  
i wybladły Telembski; resztę stołu zajmowała szla-  
chta z okolic, która dzielnym ramieniem wspierała  
prześladowanego losem Augusta.

Po pierwszym daniu zdjęto obrus zwierzchni,  
pod nim ukazał się drugi, bogato złotem przeszzy-  
wany, który zastawiono nowym serwisem.

— Jesteśmy zachwyceni, rzekł ze zwykłą uprzej-  
mością August do Wojewodziny, istotnie zachwy-  
ceni ucztą i widokiem tak pięknej bohaterki, co króla  
nieszczęśliwego sprawę podniosła!

Działyńska z rumieńcem oczy spuściła.

— N. Panie, nie tylko mnie dziękczynienie należy, są i inni co zasłużyli na względy W. K. Mci, i wskazała na nieznanomego młodzieńca i Telembskiego.

August poznał ostatniego pierwej, na młodzieńca spojrzął z uwagą:

— Któż to taki? zapytał.

— Jest to młody Grudczyński, rzekł Szmigiel-ski z cicha do Augusta, którego ojciec silnem będąc W. K. Mci przeciwnikiem, przyjął nas tak szlachetnie.

Król, kazał podać sobie wielki szczerzłoty pu-har napełniony tokajem, a powstawszy i wznosząc go w górę, zawołał:

— Pijemy zdrowie zacnej gospodyni, której tyle winniśmy i wasze, obracając mowę do Telembskiego i Grudczyńskiego, jako kawalerów orderu Orła białego.

W tym samym czasie bowiem ustanowił pomieniony order August w Tykocinie, był to pierwszy w Polsce, dotąd nieznanym, bo szlachta zazdrosna własnych przywilejów i równości, nie przyjęła dawniej jeszcze projektowanych przez Władysława Łokietka i Władysława IV, który chciał postanowić order Niepokalanego Poczęcia N. Panny Maryi, a sławny Jerzy Osoliński wygotował już jego ustawy.

Z uszanowaniem i rozrzewnieniem przyjęli ten dar łaskawego monarchy.

— Słyszeliśmy, mówił dalej, że jeszcze wielu innym podziękować musimy.

Działyńska dała znak, pan podstarości Dębołęcki, wystrojony w czarny gredyturowy kontusz,

w pasowy, atlasowy żupan; karabela w błyszczącą stal oprawna, wisiała przy boku. Na znak dany, zakręcił wasa, poprawił pasa i wyszedł z powagą.

W izbie czeladniej czekali przywołani Stanisław Bąk i borowy. Pan podstarości ich przywołał do przedpokoju, gdzie stanawszy przed zwierciadłem i próbując jak lepiej przystaje czapeczka, rzekł z wolna do Kurpiów:

— Jego Excelencya, Najjaśniejszy Rex Poloniae, Magnus Dux Lithuaniae. król August II, chcąc wam okazać w konsekwencyi sentymenta swoje, które raczył skoncentrować w jeden punkt łaskawości, raczył wydać mi ustny ordynans do convocowania was przed swoją personę.

Kurpie spojrzeli po sobie, ani słowa nie rozumiejąc.

— Polityka N. Pana zniżyła się i do plebejskiego stanu a konsekwencyą (gdyż był to ulubiony wyraz pana podstarościęgo, razem z punktem sentymentów) sami zobaczycie.

— Wielmożny panie! rzekł borowy strasznie górno pan wielmożny gada, a my prostaczki sobie, po niemiecku nie umiemy.

— Prawda! prawda! zapomniałem odpowiedział; nie zważyłem na konsekwencyą, gdy wyższego tonu verbów, proverbów i sentencji używałem. — No! panie leśniczy! rzekł do borowego, król chce was widzieć razem z panem bartnikiem Bąkiem.

Kurpie wytrzeszczyli oczy z podziwienia tem więcej, słysząc, że ich panami nazywa ów groźny dawniej podstarości.

— Ale proszę wielmożnego, ze zakłopotaniem

odezwał się borowy, jakże ja do króla gadać będę.. i poskrobał się po głowie.

— Najlepiej nic nie mów; tylko się kłaniaj, a gdybyś chciał koniecznie, zawsze zaczynaj najjaśniejszy panie, lub miłościwy królu—No, chodźcie za mną, a ostrożnie. żeby się z was który nie przewalił na śliskiej posadzce.

Zdjął czapekę, ułożył ją zgrabnie pod pachą, zarzucił wyloty od kontusza, pogłaskał wasa i czuprynę, otworzył wielkie podwoje, sam wszedł na przód, za nim Bąk i niedźwiedziego składu ciała borowy.

Krół August spojrział na nich. Pan podstarości jak najniższe bił pokłony; Stanisław i borowy nie poruszeni stali. Król z ciekawością przyglądał się ich postaci i ubiorowi, który był wykwitniejszy, świąteczny, bo się wystroili, wiedząc, iż przed Augustem staną.

Borowy długie włosy miał w tył zczesane, gęste ich wyloty zakrywały kark gruby i niski. — Koszula biała, mosiężnym guzikiem spięta pod szyją, na niej kamizelka granatowa, ozdobna takimiz guzikami; spodnie płócienne, na nogach kurpie, zwierzchnia sukmana kawowego koloru, wdziana na rękawy; kapeluszek okrągły z dużymi skrzydłami, przystrojony czerwoną wstążką; był bez torby i strzelby, ale kordelas wisiał u boku. Takież sam ubiór miał Bąk na sobie.

August przywołał ich bliżej do siebie, a patrząc na olbrzymią borowego postać, rzekł:

— Musisz być silny?

— Tak jest, Jasny panie!

W tej chwili pan podstarości pociągnąwszy go za sukmanę z tyłu, rzekł:

— A gadajże, Miłościwy królu.

Niez mieszany borowy powtórzył:

— Tak jest, Miłościwy królu, zduszę niedźwiedzia!

— Kto wie, może mocniejszy odemnie, rzekł król z uśmiechem do Wojewodziny. Potrafisz zgiąć ten pieniądz? i podał mu gruby talar. Borowy ledwo się go dotknął, zwinął w dwóch palcach jak papier. August się zadziwił. W tym starosta Szmigielski już podchmielony, zawołał:

— Pozwolisz, N. Panie i to jest dowodem niemałej siły, ażeby talar rzucony na posadzkę ugrzązł do trzeciej części.

Borowemu podano pieniądz, nie śmiał rzucić w przytomności króla i tyłu panów; przykląkł więc i dłonią wcisnął w podłogę prawie cały talar.

— Do stu Talarów! wykrzyknął Szmigielski, ja nie widziałem jeszcze podobnej siły, on by człowieka jak ptaszka na rękę uniósł.

— Jasnie wielmożny panie! my i to potrafimy.

Zwrócił się, a widząc najbliżej pana podstarościę, wsunął mu rękę pod żupan i podniósł w górę. Pan podstarości zmieszany skreślił się od razu; wypuścił czapkę zgrabnie ułożoną z pod pachy, już miał zlecieć, gdy borowy drugą ręką poprawił go sobie i przytrzymał.

Śmiech powstał około, a pan podstarości bladł i czerwieniał jak upiór ze wstydu i gniewu. Kurpie lekko spuścił rękę ku ziemi; pan podstarości skończył w złości, poprawiając zgniecony żupan i kontusz,

Stanął w rogu komnaty przy oknie i strzepywał kurzawę ze swojej czapeczki.

— Moi przyjaciele, rzekł król po chwili, wieniem wam wiele wdzięczności, czemże odpłacę? Jedynie sercem i złotem i rzucił sporą kiesę złota; ale żaden z Kurpiów nie posunął się do jej pochwylenia, upadła z brzękiem na ziemię. Pan podstarości skoczył od okna, podniósł worek i chciał oddać borowemu, lecz ten odsunął go ręką, zbliżył się więc do Augusta i rzekł:

— Miłościwy królu! krwi się złotem niepła ci, my nie dla złota walczyli, pieniądz za kulę nie stanie, ani też doda odwagi; jeszcze się zda złoto dla panów. Kurpie krwią nie handlują, ani na borg puszczą.

Król z podziwieniem spojrzął na prostego wieśniaka co tak śmiało mówił, a obróciwszy się do Bąka, zapytał:

— Może wy przyjmiecie?

— Nie! Najjaśniejszy Panie, jednako myślimy.

— A wszakci kum, rzekł z prostotą borowy, nie chciał worka przyjąć od króla szwedzkiego, kiedy przespał w jego chacie!

— Jakto? zawołał August, Karol XII był u was?

— Tak jest, Miłościwy królu, odpowiedział Stanisław Bąk, był, ale w mojej chacie, a kto pod dachem jest Kurpia, ten spać może bezpiecznie.

— Widzę, że cnota gościnności jest powszechną w narodzie polskim, rzekł August, a obracając mowę do Szmigielskiego, mówił dalej: Wszakżeśmy niedawno sami doznali jej na sobie.

Pan podstarości stał z workiem w rękę, nie

wiedząc co robić, z niskim ukłonem już kładł na stole, gdy król zawołał:

— Rozdać to na służbę dworską, a o nich wskazując na Kurpiów, pomyślimy.

Pan podstarości krokiem poważnym wyszedł ze sali, ażeby dopełnić rozkazu królewskiego; stanął już na ganku, właśnie zabrzmiała muzyka liczna, gdy ujrzał jeźdźca, pędzącego co siła, gościncem. Koń wysilony biegiem przed samą bramą upada, Jeździec zręcznie zeskoczył i spojrzął ze zalem na niego. Tarant robił mocno bokami, napróżno usiłował dźwignąć się ze ziemi; jeździec widać miał pilne zlecenie, bo prędko przebiegł dziedziniec.

— Czy jest król? zapytał podstarościę.

— Właśnie N. Pan obiada i schował trzos, trzymany w rękę do kieszeni, nasadził czapkę na głowę, chcąc okazać przybyłemu wielkie znaczenie swoje.

— Ja cierpieć nie mogę zwłoki, donieś królowi, rzekł klepiąc go po ramieniu, że kapitan Brand chce się widzieć z Jego król. Mością.

Pan podstarości zdjął czapkę i z niskim ukłonem otworzył wielkie podwoje jadalnej sali, a kurzem okryty wszedł kapitan saski i oddał królowi depesze.

Pomieszany August czytał wiadomości przysłane; kilka słów z cicha przemówił do Działyńskiej i Szmigielskiego. Starosta się porwał, dobył korda i silnym głosem zawołał:

— Do broni! bracia! bo już Szwedyniedaleko.

Borowemu ogniem zabłyśły oczy, młody Grudczyński i Telebski dobyli szabel, a za ich przy-

kładem wszyscy; umilkła muzyka, jeden tylko odgłos brzmiał w sali: Do broni! do broni!

— Pan podstarości, właśnie siedząc w jednej komnacie nad butelką węgryzna, zbierał punkta sentymentów, gdy usłyszał wrzawę i odgłosy liczne: do broni! do broni! kiwnął głową i rzekł sam do siebie: Obaczmy konsekwencyą, jaka stąd wypadnie.

Wylał resztki w kieliszek, a dopijając pomrukiwał: Ciekawym konsekwencyi, jaki punkt dla siebie obiorą sentymenta szlachty i Najjaśniejszego Pana.

### XVII.

“Dni nasze, jak dni motylka,  
 “Życiem wschód, śmiercią południe;  
 “Lepsza w Kwietniu jedna chwilka,  
 “Niż w jesieni całe Grudnie”.

Adam Mickiewicz.

Noc była ciemna, księżyc w całym przyświecał blasku i nieprzeliczone gwiazdy iskrzyły się na niebie. Śnieg okrywał pola i obnażone z liści drzewa; na ustroni stało kilka chat wiejskich, w około milczenie, czasem tylko przerywane szczekanie psów, co wietrzyły wilka lub obcego we wsi.

Żadnego tam światła nie było widać, gdy zagnała w narożnym domku zajaśniało. Po skrzypieniu śniegu zmiarkować można, że choć północ, ktoś przybywał, bo i psy poczuły, gdy gromadnie oskoczywszy niewielki dziedzińczyk, ciągle naszczekiwały.

Ale nie było w tej chacie radości, stary Przeździecki, dawny rotmistrz chorągwi pancernych, je-

czał w bólach; jego córka Anna, młoda, bo zaledwie 15tę wiosną licząca, niewinna jak anioł, kłęzczała przy łożu ojca.

— Moje dziecię, rzekł starzec przerywanym głosem i dla mnie kreska przychodzi, czas oddać Bogu duszę, a ziemi ciało. Wkrótce połączę się z moją kochaną Marysią, z twoją matką; nie płacz daremnie, łzami nie odwołasz ostatniej godziny, nie przedłużysz życia ojcu.

Po chwili z trudnością podniósł się na łożu; westchnął z boleścią, kazał podać krzyż srebrny z Chrystusem, przeżegnał się nim, ucałował kilkakrotnie i słabym głosem zanucił:

“Kto się w opiekę odda Panu swemu”,  
 prześpiewał pieśń całą i kładąc drżące ręce na głowie niewinnej Anny, rzekł:

“Daję ci moje błogosławieństwo rodzicielskie; niech cię Bóg strzeże od wszelakiego złego, pamiętaj na matkę, ona wzór ci zostawiła ze siebie”.

I otarł łzy ze sędziwego lica.

W tem zaszczekały psy na podwórzu; Anna wybiegła. Niedługo roztworzyły się drzwi komnaty, wszedł borowy dzwigając omdlałego i krwią zlanego młodzieńca.

— Pomaga Bóg! rzekł wchodząc i kładąc na łożu próżnym, przy starym wojowniku omdlałego. Ledwie go uniósł z pola bitwy, rzekł borowy, trzeba mu dać ratunek; jest to paniątko delikatne, a nigdzie żadnej nie znalazłem chaty.

Anna przywołała starą gospodynią, która leczyła w okolicy i za doktorkę była okrzyczana. Zdjęto odzienie, obmyto mu rany; był cięty w głowę pałaszem, a ugodzony kulą w prawą stronę piersi.

Stary Przeździecki, sam bliski ostatniej godziny, zachęcał córkę i gospodynią do rychłego ratunku. Borowy po wytechnieniu, posilony wódką i ja-dłem, zaczął opowiadać, o stoczonych bójce.

— Biliśmy się długo, nakładli Szwedów styr-tami na polu, i sam nasz król był, wiele szlachty; bójka trwała cały dzień jeden i drugi, ale nas nie mogli się na górze utrzymać; jak też ustąpili, prze-padło wszystko, król musiał ustąpić, nasza Pani Wojewodzina...

— Zginęła, z boleścią zawołał Przeździecki.

— Nie wiemy co się stało, jedni mówili, że zginęła drudzy, że zabrali ją czerwone djabły. Naszych Kurpiów wiele naginęło, nie mało i z panów szla-chty, bo też zażarcie się bronili.

— Więc Szwedy otrzymali pole bitwy, zwycię-żyli niestety garstkę najodważniejszych!

Borowy kiwnął głową, westchnął i już miał odpowiedzieć, gdy Anna usłyszawszy omdlałego młodzieńca odetchnienia, wykrzyknęła z radością.

— Żyje! żyje! zaczyna oddychać!

— Dzięki Bogu! rzekł stary Przeździecki, niech mu nikt nie przeszkadza, może usnie trochę.

Borowy cicho odszedł do izby czeladnej wraz z gospodynią. Anna uklękła przed okrazem Matki Boskiej i modliła się z całym uczuciem religijnem; stary Przeździecki oddychał ciężko na łożu boleści.

Zegar ścienny uderzył drugą godzinę; ciemność r o z j a s n i a ł słaby blask lampy, pło-nące na kominku. Ranny młodzieniec zasypiał, westchnął głęboko kilka razy i po każdym wyma-wiał przez sen słabym głosem wyrazy:

— Dalej! naprzód! już jej nie ma! zginęła! nie

żyje! Ostatni nie żyje! z boleścią wyrzekł i mocno jęknął.

Borowy w izbie czeladnej uczestowany, rozpra-wiał ze zwykłym zapałem o bójce wczorajszej pani gospodyni i zgromadzonej czeladzi, która zbudzona ze snu, wielki osiadła komin.

— To dużo naszych naginać musiało? rzekła pani Marcinowa (tak bowiem po mężu nazywano gospodynią).

— O, nie mało! odpowiedział borowy. Tylko co wyszliśmy z lasu, ujrzelśmy czerwonych djabłów. Na polu i w trzech wioskach było ich pełno jak kawek na słotę. Król ze szlachtą i z trochę swoich Sasów stanął nad płotami; nasi Kurpie osadzili pa-górek. Nasza pani była z nami, zaczęliśmy Szwedom — trzepać skórę. Już się cofali, gdy z nagła i z tyłu się pokazali; z dwóch stron napadnięci — napróżno wszelka obrona; rozbici, mu-sieliśmy opuścić wzgórek, tem bardziej, że nasza pani nie wiedzieć gdzie się podziała. Jak też nas pobili i król musiał ustąpić i nie wiedzieć, gdzie teraz się obraca. W Myszeńcu spalili wiele domów, za ledwie kościół uratowano, a i to jakby cudem!

— Nic dziwnego, rzekła pani Marcinowa, ogień świętego nie ima się domu, a potem jest tam obraz cudowny.

— W lesie, opowiadał nam sąsiad Łopucha, który co tylko podniósł się z łóżka że Boruta opuścić mu-siał swój zamek w Łęczycy, gdzie skarbów pilnuje, bo słyszał jak się wyśmiewał z naszych, przelatując ze sosny na sosnę. I jać go słyszałem, ale wtedy wybiliśmy Szwedów, a teraz — i zwiesił ze smutkiem głowę borowy.

— No, no, proszę, zawołała pani Marcinowa, to i prawda co o nim gadają i z bojaźnią przysunęła się do komina.

— Co prawda, to nie grzech! odpowiedział borowy, swój zawsze swego wspiera i chociaż tak daleko Boruta siedział, przywędrował czerwonym djabłom na pomoc.

— Nie wiele on się zmorduje, odezwał się Marcin leśniczy, mąż pani gospodyni, który dotąd spokojnie siedział, czyż nie wiecie, że jak stąpi to mila, jak skoczy, to dwie.

— Takci to gadają, pomruknął borowy; w tym krzyk młodej Anny poruszył wszystkich, z pospiechem skoczyła od komina pani gospodyni, za nią leśniczy. Borowy nalał spory kieliszek wódki, wychylał go spokojnie, gdy wbiegł błądy Marcin i zawołał:

— Już skończył! umarł.

### XVIII.

Na konie wskoczą, sztandar roztoczą,  
Wesoło trąbka zadzwoni;  
Rumaki spięli, bramę minęli,  
A na ich czele on goni.

Ludwik Jabłonowski.

Po zwycięskiej dla Karola XII walce pod Myśzynie, gdzie rozbiwszy Kurpiów, parł Augusta z niedobitkami, zostawia generała Steinflicht wraz z pułkownikiem Rebinder, do zupełnego ujarzmięcia bohaterskich mieszkańców obszernych lasów Mazowsza, a sam dąży w ślady nieszczęśliwego króla polskiego.

August uchodząc stawiał mu opór pod Klisz-

wem w 12.000 Sasów i 12.000 Polaków. Karol mając mniejszą o połowę armią, przyjmuje wezwanie, rozpoczyna walkę.

Bójka była krwawa, a zwycięstwo niepewne; już się zdawało nawet przechylającym na stronę Augusta, tem więcej, gdy ugodzony kulą armatnią, spadł z konia książę na Gotorpie i po krótkiej męczarni skonał. Karol XII stał nad jego zwłokami chwilę i pierwsze a ostatnie łzy w swoim życiu wojownikowi temu poświęcił; ale po okazaniu tego żalu, poskoczył na konia z nowym zapalem, jakby chęcią zemsty wiedziony i na czele jazdy rzucił się w szeregi nieprzyjacielskie. Napad był tak gwałtowny, że go wytrzymać nie mogły szeregi i w rozsypce szukały ocalenia. Dostrzegł to wcześniej August i sam na czele dragonów saskich i jazdy polskiej pod dowództwem starosty Szmigielskiego, śmiało postawił czoło szczęśliwemu bohaterowi.

Obadwa królowie jak prości waleczyli żołnierze, w niezem nie ustępując męstwu i narażaniu się w tej walce. Olbrzymią siłą zrzucił August z koni Szwedów, a każdy cios który ze silnej wymierzył dłoni, był śmiertelny; przy jego boku walczył Szmigielski, który nie wiele ustępował temu królowi i w sile i w męstwie. W zapale i uniesieniu rzucali się w tłumy, gdzie wrzała najkrwawsza bójka, a gdziekolwiek błysły ich szable, przerzedzały się szeregi, powstawał popłoch i trwoga. Karol XII, odcinał się długim prostym rapirem, oskoczony zewsząd, mężnie i otwierał drogę do swoich, na których czele stanawszy, na nowo rozbijał szeregi saskie.

W zamieszaniu, kurzawie, trudno było rozpoznać, która strona górę bierze, bo walka na jednejsze

trwała równinie, niekiedy tylko dojrzeć można było pojedynczo uciekających w dali, spadających z koni. August oddzielony, sam pchany w tłumie, za ledwie mógł władać orężem, po chwili przecie utworował sobie przejście i zwaliwszy z konia drabanta szwedzkiego, który go silnie napierał, spojrział dokoła i ujrzał w pobliżu chorągiew polską z białym orłem i poskoczył ku niej. Na jej czele Telembski stawiał mężny opór zastępom liczniejszych Szwedów, gdzie sam Karol XII dowodził. Obaj królowie spotkali się ze sobą, ale zamiast walki osobistej, jak w dawnych rycerskich wiekach było pospolitem, uprzejmie się pozdrowili. Uchylił kapelusza August, odkłonił mu się Karol XII ze surowem spojrzeniem.

Walka jeszcze trwała uporna, ale na prawem skrzydle zwyciężyli Szwedzi; rozbici, popłoch zaniesli na lewo, wszystko poszło w rozsypkę. Napróżno zachęcał, przywoływał August, napróżno z kilku chorągwiami odnowił walkę Szmigielski; działa szwedzkie przerzedziły je wkrótce, a król polski z rozdartym sercem musiał uchodząc patrzeć na zwycięskie sztandary Karola XII.

W nieładzie parci Sasi i Polacy, pierzchali w rozmaite strony, nie mogąc nawet dział uprowadzić. August spieszył w towarzystwie kilku oficerów przez pola do pobliskiego lasu, gdzie bezpieczniejsze schronienie uważał, ale dostrzegł to nieprzyjaciel. Drabanty odcięli mu drogę, już się miał za zgubionego, bo osobiste męstwo, ani siła nic nie mogły naprzeciw liczbie Szwedów, ale w tejże chwili, przypada Telembski ze swoją chorągwią.

— Górą nasi! zawołał, rozproszył nieprzyjaciół, otworzył drogę do lasu i już mieli w nim bezpie-

czniejszą ustron znaleźć, gdy rześisty ogień ręcznej broni i dział szwedzkich ich powitał. Telembski rzuca się najprzód, ale kula armatnia powala go z koniem, inni w popłochu i trwodze pierzchają.

August z jednym tylko kapitanem Brand dostali się szczęśliwie do lasu i manowcami uchodzili. Karol XII nie zaniedbał korzystać z tak wielkiego zwycięstwa; po niedługim spoczynku, ruszył drogą do Krakowa i zajął tę starodawną stolicę. Król polski zmordowany chciał spocząć, bo i koniom trzeba było wytchnąć, nimby dalej na nich podróż przedsiębrać.

— Najjaśniejszy Panie! rzekł Brand, w tym gęstym lesie mozem spocząć, nie słyhać nic w około, nieprzyjaciel się zatrzymał.

August nie odrzekł ani słowa, zsiadł z konia, zdjął kapelusz i otarł pot gęsty z czoła.

— Niestety ciągle nas ściga, mój kapitanie, wyrzekł te słowa monarcha z głębokim westchnieniem, a muszę patrzeć, jak wszystkich los przesładuje co popierają naszą stronę. Za ledwie błysła gwiazda pomyslna, wnet ciemną chmurą się zakryła. Tyle poświęceń, tyle krwi, męstwa, spełzło od razu; napróżno moi wierni poddani chciecie tron nieszczęśliwego wspierać króla, zostawcie go losowi, niech się napastwi nad nim dowolnie.

— Najjaśniejszy Panie! jeszcze tracić zupełnie nie mozem nadziei.

— O! przestań, przestań uwodzić się nadzieją! Ileż razy ona już nas zawiodła. Czyż teraz zawieźć możemy? Spojrzyj na pole bitwy, ileż tam mężnych moich przyjaciół i poddanych legło i jak wreszcie, zawołał z gorzkim uśmiechem August,



może być nadzieja! Mężni Kurpie, którzy zgruchotali raz potęgę Karola, teraz zgnębieni, a ich bohaterka zapewne poległa; ostatek wojsk moich, które z wysileniem zebrałem, rozbity, rozproszony i jakżeż można jeszcze mieć nadzieję, czy cię jeszcze uwodzi, kapitanie?

Ale Brand zamiast odpowiedzi, położył palec na ustach na znak milczenia, gdyż słyhać było szelest w gęstwinie. Nieustraszony August porwał za pistolet turecki, bogato w srebro oprawny, który miał za pasem i zmierzył celnie, gdy z nagłą opuścił rękę.

— To nasz dzielny Kozak, zawołał, a gdzie twój pan?

Był to Hryc znajomy, który w ogólnej porażce w lesie szukał ochrony.

— Miłościwy królu! odpowiedział zdejmując czapkę, Bóg wie, gdzie się teraz obraca.

— A znasz tę okolicę? zapytał August.

— Jakby nasze stopy, bo tu nieraz polowaliśmy.

— Dzięki niebu! rzekł król do Branda, mamy dobrego przewodnika; prowadź nas!

— Gdzież rozkaże, król miłościwy?

— Do Sandomierza! do Sandomierza! tam jeszcze trzymają się moi.

Kozak ruszył naprzód, August za nim, a kapitan Brand obok towarzyszył elektorowi saskiemu, który tytuł tylko króla polskiego nosił.

### XIX.

“Bez króla rozbijali tam Lechowe plemię,  
Niewinną krwią niestety! oblewali ziemię”.

Trąba na rozproszonych.

Huk dział i ręcznej broni rozlegał się jeszcze, gdy Telemski stał zadumany nad zabitym koniem.

— Cóż się dzieje z królem, gdzie się obraca? pomyślał. Cóż ja teraz pocznę bez mojego bułanka?

Łzy mu się zakręciły w oczach, westchnął i poszedł wąską drożyną, wiodącą w las ciemny. Zamyślony i stroskany nie rozpoznawał okolicy, którą przebywał, gdy nagle odgłos dzwonka z wieży kościelnej na Anioł Pański obudził go jakby ze snu. Ukląkł, nabożnie odmówił modlitwę i z rozrzewnieniem ucałował ziemię.

— Czy to tu, czy nie tu? mówił do siebie, takiż las i kościółek i pole, gdzie nieraz polowaliśmy na zające. Ale powinien być krzyż na rozstajnych drogach, przy nim jarzębina, dalej kościółek, a potem dwór, gdzie moja Zosia; westchnął i przysporzył kroku.

— To tutaj jestem! w Jazdowie! zawołał uradowany. Otoż krzyż i jarzębina, kościółek, lecz cóż się to dymi; ach! dla Boga! to się pali.

Wybiegł na wzgórze i ujrzał kilka chat płonących, oko jego chciało dojrzeć dwóru białego, ale czarne kłęby dymu zasłaniały go zupełnie.

— Święty Stanisławie! ratuj nieszczęśliwych! zawołał i biegł co siły.

Odgłos dzwonu kościelnego, który wziął za wezwanie do modlitwy, wzmacniał się bardziej, ale było to dzwonienie na gwałt. Ciemne słupy dymu i płomieni przy zachodzącym słońcu, odbijały się mocniej; przybiega do wsi; jakież okropny widok! Większa połowa już spalona, zwalone śsiany i powały w dużych główniach zarzyły się jeszcze, sa-

motne sterczały kominy; reszta w płomieniach, dzieci nagie matki z płaczem unosiły z pożaru.

Telembski przebiegł wieś całą, pot zimny go oblał, oczy jego zwrócone były tylko na dwór biały, ujrzał go.

— Nie pali się! wykrzykuął i wybiegł na podwórzec.

Podwórzec był pusty, cisza grobowa, nikt nie wyszedł. Pomieszany wchodzi na ganek, drzwi otwarte pierwszej i drugiej komnaty, idzie zwolna aż do sypialni takież obraz.

Stary Ordon w podartej kapocie siedział przy ogniu na kominku roznieconym i zranioną nogę z krwi ocierał.

Żona jego ze zapłakanyymi oczyma okryta lisią szubą, stała przy kolebce. W komnacie wszystkie sprzęty i rzeczy w największym nieładzie i nieporządku; przez wybite okna wiatr poświstywał.

Nie zważali przyjścia Telembskiego; stanął on przy wejściu i patrząc na ten widok gorzkimi zalał się łzami.

— Matko Boska, Częstochowska! kto tutaj! krzyknęła niedługo z przestraczem pani Ordonowa.

— Czy nie poznajecie?

— To nasz pocziwy Stasio! zawołał stary Ordon. Skądże Bóg prowadzi?

Telembski nie mógł od łez słowa przemówić, ucałował rękę pani Ordonowej, uściśnął samego i zbliżył się do kolebki, chcąc małą Jadwisię powitać.

Nachylił się, nagle wzrok jego zdziczał na widok twarzy, krwią złanej, w milczeniu obrócił się

do matki i palcem krew zsiadłą na licach dziecięcia ukazał.

— Śpi, śpi, moja Jadwisia, rzekła pani Ordonowa i zanosła się od płaczu.

Stary Ordon otarł łez kilka spadłych na wąs siwy.

— Pan Bóg daje, Pan Bóg bierze, moja Małgosiu, niech się dzieje święta Jego wola! i uchylił głowę słowa te wymawiając.

— Nie żyje! zawołał Telembski, kto ją zamordował?

— Ci, co krwią zalali nieszczęśliwą Polskę, a miasta i wioski w popiół zamienili, ci co ani na wiek, ani styraną starość nie zważają nigdy, co i mnie poranili, rzekł Ordon, wskazując świeżo okaleczoną nogę.

— Szwedy przekłete!

Po chwili porwał Telembski małą Jadwisię z kolebki i zaczął całować.

Matka zerwała się od komina i rzekła:

— Przestraszysz, mój Stasiu nagle dziewczynę ze snu, ale spostrzegłszy się z gorzkim uśmiechem mówiła dalej:

— Już się nie obudzi! usnęła na zawsze! Zakryła oczy rękami i rzewnie płakała.

Telembski złożył napowrot dziecię w kolebkę i zapytał:

— Gdzież moja Zosia?

— Nie masz jej!

— Porwali ją! zawołał z wściekłością, oczy mu się zaiskrzyły i zylastą dłonią ścisnął rękojeść szabl.

— Dzięki Matce Boskiej, że nie była z nami!

jak szwedzi w padli; przed dwoma dniami odjechała do pani Wojewodziny i tam zapewne bezpieczna.

Telembski odetchnął swobodnie, zrzucił burkę, kord odpasał i zasmucony usiadł przy starym Ordnie.

## XX.

“W lochu ciemnym wilgotnym,  
Więzień na słomie leży;  
Gwoli chwilom samotnym,  
Pamięcią w przeszłość bieży”.

Nieznajomy (Balada.

Po zwycięskiej dla Karola XII bitwie pod Kliszowem, już nie miał August żadnego ratunku oparcia się szczęśliwemu bohaterowi tego wieku; party ciągle, uchodził do Saksonii, a za nim w ślady postępował król szwedzki i stanął obozem pod miasteczkiem Altransztadt, pięć tylko mil od Lipska.

Telembski, właśnie przywołany, spieszył do Drezna, gdy August zmuszony przyjąć warunki podane od Karola XII, już je podpisał. Między tymi był najważniejszy, ażeby Jan Rejnold Patkuł, który jako poseł Piotra Wielkiego, znajdujący się na dworze saskim, był wydany. Wahał się August, nie wiedział co robić, lubo już poprzednio dopuścił się gwałtu na jego osobie, gdy kazał go uwięzić i zaprowadzić do fortecy w Koenigstein.

Piotr Wielki groźnie upominał o złamanie prawa narodów, równie groźnie dopominał się o wydanie Patkuła Karol XII. August po uwięzieniu go, ogłasza, że jako poseł, szkodliwie dla sprawy jego działał, obiecuje zaś Karolowi bliskie wydanie. Piotr

Wielki zagraża, że mścić się będzie na wszystkich Polakach, którzy są w jego ręku i przez księcia Galicyna, nadzwyczajnego ambasadora, żąda zwrotu ważnych papierów, które jako przy pośle moskiewskim, zawierały tajemnice dyplomatyczne, a po uwięzieniu Patkuła je wzięto.

Pani Einsiedel, znakomita Saksonka urodą i bogactwy, z którą był zaręczony Patkuł, na kolana błaga Augusta, aby uszanował prawa narodów; król się w niepewności waha i namyśla. Nad wieczorem kazał przywołać Telembskiego.

— Weźmiesz ze sobą dwudziestu z przybocznej mojej gwardyi, bezzwłocznie pospieszysz do Koenigsteinu i tam uwięzionego Patkuła wydasz królowi szwedzkiemu.

— Jakto, Najjaśniejszy Panie, posła obcego mocarstwa?

August rozgniewany powtórzył:

— Tak, Patkuła, posła obcego mocarstwa; idź, dopełnij, co ci rozkazałem i doniesiesz mi zaraz.

Telembski odszedł spełnić dany rozkaz.

— Spodziewam się, rzekł sam do siebie August, że go już nie znajdzie; tak ochronię i własną sławę i dopełnię warunków traktatu tej żelaznej głowy.

Oficer od służby wszedł i oddał ekspedycyą urzędową.

— Skąd to? zapytał August.

— Z Altransztadt, z obozu króla szwedzkiego.

— Więc znów Karol, rzekł August, gdy sam został, jeszcze czegoś pragnie, ciekawym.

Roztworzył papier i po przeczytaniu z ironicznym uśmiechem zawołał:

— O mało, że nie chce, żebym został marszał-

kiem dworu Leszczyńskiego, którego zrobił królem. Pragnie listu, żebym ja napisał z powinszowaniem wstąpienia na tron Najjaśniejszemu Stanisławowi I., co niedawno został Najjaśniejszym z p. wojewody.

\* \* \*

Telembski przybył do fortecy, okazał gubernatorowi rozkaz Augusta i na czele oddziału wszedł do więzienia Patkuła.

Więzień szlacheckiej postaci zapytał uprzejmie, po co przychodzą.

— Z wyraźnego rozkazu króla Augusta, odprowadzić was muszę do obozu Karola XII, odpowiedział Telembski.

Na te słowa wzdrygnął się Patkuł.

— Jakto? mnie królowi kazał wydać August! Zakrył twarz rękami, widać było boleść i cierpienia; po chwili westchnął głęboko.

— Jestem gotów, prowadźcie na śmierć pewną.

Telembski oddał straży szwedzkiej więźnia, sam pospieszył donieść Augustowi o wypełnionym rozkazie.

— Zastałeś Patkuła? zapytał król wchodzącego.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie — wydany Szwedom.

August kilka kroków w tył się cofnął i rzekł ze zadziwieniem:

— Był jeszcze?

— Był, Najjaśniejszy Panie i już teraz pewnie nie ucieknie, bo okuty w ciężkie kajdany.

Król nic więcej nie wyrzekł, dał mu znak ręką, ażeby odszedł.

— Nieszczęśliwe przeznaczenie, zawołał z boleścią, cóż powiedzą o Auguście.

Istotny plan albowiem króla był ten, iż wydał tajemny rozkaz rządy zamku Koenigstein, ażeby Patkułowi ułatwił ucieczkę i zaraz wysłał Telembskiego do wydania go Szwedom w nadziei, że już ratował się ze zamku. Tymczasem rządca, wiedząc o bogactwach Patkuła, chciał korzystać, żądał nagrody, której mu ten opierając się na szanowaniu prawa narodów odmówił w pewności, że i darmo wolność otrzymać musi. Ale srogie przeznaczenie ścigało nieszczęśliwego Patkuła, czas drogi stracono i wydano go w tygrysie ręce. — Karol XII kazał go do wysokiego słupa przykuć ogromnymi łańcuchami, a później przy śmigownicy prowadzić pod silną strażą do Polski, gdzie miał ponieść śmierć męczeńską. August rozkazał niedługo przywołać Telembskiego, a oddając mu depesze, rzekł.

— Jest to ostatnia usługa, jakiej żądam od ciebie; tak ostatnia, przestałem już być królem polskim, jestem tylko elektorem saskim. Uwalniam was od usług dalszych, które z taką wiernością i poświęceniem dopełnialiście zawsze.

— Jakto, Najjaśniejszy Panie, zawołał z rozrzewnieniem młodzieniec, czyż i oręża w obronie mojego króla dożyć nie mogę?

— Naprawdę, dzielny i odważny mój obrońco; wreszcie któż zechce wspierać prześladowanego Augusta?

— Dla serc poczciwych, odrzekł ze zapalem Telembski, wiara stateczna jest powinnością, a przysięga obowiązkiem. Najjaśniejszy Panie! jakkolwiek słyszałem z ust Waszej Królewskiej Mości

mój wyrok, sędzę, iż to nie nakazuje, ażebym krwi mojej i wiernych Tobie, nie poświęcał w obronie praw naszego króla. Spieszę, spieszę spełnić polecenie Waszej Królewskiej Mości, ale znajdę przecie pole, gdzie w imieniu Augusta dobędę korda.

Król z rozrzewnieniem spojrział na męznego młodziana i gdy ten przyklęknął, całując rękę monarchy, August włożył mu na szyję złoty łańcuch z wizerunkiem swoim.

— Niech ci to przypomina zawsze króla, który jakkolwiek nieszczęśliwy, czuje się dumny, że nad takim panował narodem, który nie złamał wiary przysiężonej monarsze, co szanował jego prawa. Bądź zdrów, rzekł August w końcu, nie zapominaj tego, który was kocha.

Telembski opuścił ze łzami komnatę królewską i spieszył dopełnić poleceń, danych sobie, ale nie zastał już w Altransztadzie Karola, który marsz zwrócił nazad w granice Polski.

## XXI.

### CHORAŻY.

Biada Polsce! wśród tych sporów,  
Gwałt, łupiestwo mord, pożoga!

### KAPLIŃSKI.

Niech się dzieje wola Boga!  
A. hr. Fredro (Obrona Olsztyna).

W sypialnej komnacie spoczywała na łożu Wojewodzina Działyńska, gdzie z boleści od ciężkiej w nodze rany, nie mogła się podnieść. Przy niej ze zapłakanymi oczyma siedziała Zofia Ordonówna i czytała list od rodziców świeżo odebrany.

— Więc on był tam! dzięki niech będą Bogu, że zdrowo wyszedł z tej nieszczęśliwej walki. Gdzież się teraz obraca? zapytała z westchnieniem Wojewodzina.

— Wyjechał do Drezna, odpowiedziała Zosia z rumieńcem.

— Nie prędko go zapewne zobaczymy, moja Zosiu, a ty tęsknisz za nim; twojeś myśli przykuła do Stasia; nie dziwię się wcale, moje kochanie; znam, co to miłość, jakie jej rozkosze i cierpienia. Ale obetrzyj oczęta z łez rzewnych, niech przecież Stasio zobaczy ciebie wesołą. Naucz się wcześniej znieść troski chwilowe mężnie; ileż ja ich sama znieść musiałam. O jakże rana dolega! Moja Zosiu, podłóż poduszkę, to mi lżej będzie.

W tej chwili wszedł pan podstarości Dębołęski, wystrojony jak w owym dniu uczy, kiedy siedział na ręku borowego.

— Cóż nowego przynosicie? zapytała Wojewodzina.

— Jaśnie Wielmożna Pani! nie najlepsze nowiny, król August pobity pod Kliszowem zupełnie, Szwedzi zajęli Kraków; Stanisław Leszczyński już ukoronowany, a Szwedy coraz gęściej w około się zgromadzają i coraz głębiej w nasze zagładają lasy. Polityka, (mówił dalej wracając do zwyczajnego swego sposobu mówienia) na inny punkt się zwróciła, a sentymenta...

— Jakże się obchodzą z naszymi Szwedzi? przezywając, zapytała Wojewodzina.

— Jak Tatar z niewolnikami w jassyrze, Jaśnie Wielmożna Pani. Wczorajszej nocy wpadli do wsi Podlaski, co to nie daleko Myszeńca, zapalili na

cztery strony, dziewczęta i niewiasty do obozu poprowadzili, a wszystkich wywieszali Kurpiów.

— Na rany Chrystusowe! zawołała Działyńska, pomszczę się okropnie takiej zbrodni, na którąby sam szatan się nie odważył. I jakżeż, nikogo nie było, coby się oparł?

— Bo w nocy napadli śpiących, a potem diabłów czerwonych było dziesięć razy więcej i ze dworu Jaśnie Wielmożnej Pani widać było łunę jak się paliło; uderzono na gwałt, ale wszystko za późno.

— Boże Wzechmocny, dodaj mi siły, zagój moje rany prędej, abym się pomścić mogła za gwałty i mordy. Zawołaj borowego, niech staną jak najprędzej w pogotowiu hajduki i chorągwie nadworne niech dosiędą koni.

Pan podstarości z ukłonem odszedł.

— Czuję, czuję moja Zosiu, rzekła wolniej, chłonąc ze zapału Wojewodzina, większą boleść, że powstać z łoża nie mogę, niż ze samej rany. O! czemu nie ma twego Stasia, albo Gradczyńskiego, wyręczyliby mnie teraz zapewne.

Pan podstarości wrócił, albowiem spotkał w sieni borowego; wszedł za nim Kurp przywołany, włosy w nieładzie, pot kroplisty na twarzy i krew świeża, którą cały był zbрызgnany, świadczyły, że tylko co z walki powraca.

— Skąd przybywacie? zapytała Wojewodzina.

— Od Myszeńca, odpowiedział, gdzie z nasypką oddaliśmy za swoje czerwonym diablom, ani noga z miasta nie uszła, jak prosięta wykłóiliśmy, o! z daleka kwik dosłyszano.

— Jakże szczęśliwie ich napadliście! rzekła Działyńska.

— Zdrada za zdradę, Jaśnie Wielmożna Pani; czerwone djabły w nocy naszych zesłi i my w nocy. Jak uderzono na gwałt we dzwony, jeszcze piłem sobie z kumem w karczmie, gdy dano znać, że Podlaski się palą; dziewczki Szwedy uprowadzają i niewiasty młodsze, a chłopów wywieszali, ale ich broń trudno było. Zebrałem naszych i cicho jakby makiem zasiał, wpadliśmy do miasta; już każdy wiedział, gdzie zwierzyna; zaczęliśmy polowanie. Ja blisko kościoła wpadłem do domu, gdzie starsi mieszkali; było ich pięciu przy stole wesoło pili, zaśpiewałem im weselej. Jeden mi się młody pięknie prosił, klęczał, błagał, zlitowałem się, nie uderzyłem siekierą, zdusiłem jak gąbkę. O i reszta nie próżnowała; każdy miał robotę, broń zabraliśmy i koni nie mało; wszystko to przybędzie do dworu Jaśnie Wielmożnej Pani.

— A dowódca z Myszeńca? zapytała borowego Działyńska.

Kurp się głośno roześmiał, otworzył szeroko usta i ukazał zęby białe jak kły dzika.

— O! o! Jaśnie Wielmożna Pani, modlił się, wyprasał, jak mu śmierć zajrzała w oczy, ale że z jego rozkazu Podlaski spalili i dziewczki porwano, Kwiczół mu poderznął gardło. I znów borowy roześmiał się głośno.

Zosia odwróciła oczy od niego, zgrozą mając przejęte serce młode i niewinne. Obraz tylu mordów wzajemnych głębokie zrobił wrażenie i w duchu cieszyła się, że jej Staś daleko jest i nie należał do tak krwawej wyprawy nocnej.

— Spocznijcie sobie po trudach, mój leśniczy, pan podstarości każe wam dać wódki i jadła. Kurp skłonił się nisko i odszedł za podstarościm; zasiadł przy wielkim stole w czeladniej izbie, rwał po kawale kiełbasy i popijał wódką.

— Ale czuję robotę dzisiejszą, kości więcej bolą, jak po żniwie, rzekł po chwili łykając mięsiwo, o panie i sam Twardowski zapoczął się krwawym potem i zaczął pot z czoła ocierać, poprawiając długie włosy.

Zosia jeszcze przyjść do siebie nie mogła; dojrzała to Wojewodzina.

— Jakże ci się podobał nasz bohater?

— Okropny! widziałam szatana, nie człowieka; ileż on krwi wylał i śmieje się z tego; o cieszę się, cieszę, że nie było tam.... Nie mogła domówić Stasia; z westchnieniem i upieczonym rakiem spuściła oczy na dół.

— Że twego Stasia nie było, chciałaś powiedzieć, rzekła Działyńska; o! w straszniejszych on był walkach i na wszystko musiał patrzeć, a w bitwie nie znajdziesz ludzi; tam się mordują jak dziki zwierzęta; serce powoli nawyka do tych widowisków i niezadługo trętwieje w nim drażliwość, jaką teraz czujesz. Sama tego doznałam na sobie, jednakże przytem można być czułą, można kochać i kochać ze zapalem, namiętnie....

Po tych słowach umilkła Wojewodzina; żywy rumieniec okrył jej blade lica; westchnęła boleśnie.

Wszedł pan podstarości i doniósł, że chłopcy stanęli już pod bronią, cztery nadworne chorągwie siedzą na koniach, a sentymenta ich, wyrzekł z ukło-

nem, czekają dla siebie wskazania punktu od Jaśnie Wielmożnej Pani.

— Sto chłopów i dwie chorągwie niech zajmą Myszeniec, okopią go w koło, jak można najrychlej, reszta ma czekać w pogotowiu dalszych rozkazów. Broń zdobytą rozdać pomiędzy Kurpiów, a konie niech sobie wymieniają w chorągwiach nadwornych ci, co mają odpsute, chore, lub zabite własne konie w ostatniej bitwie.

Pan podstarości z uroczystą miną i poważnym krokiem zasiadłszy we wielkim krześle jadalnej komnaty i oznajmiwszy rozkazy wojewodziny, nalał spory puhar węgryzna i co szczególna wywołał leśnika borowego, ażeby mu opowiedział całą wyprawę i skutek, gdyż chce, jak mówił Kurpiowi, przewidzieć dalszą politykę, jaki punkt sobie obierze.

## XXII.

“A ja tęsknię z wieczora,  
Z jutrznią tęsknię i płacząc;  
Bom pożegnał nie wczora,  
I nie jutro zobaczę”.

Bohdan Zaleski.

Karol XII ruszył z pod Altranstatu spieszenie do Polski, wymógłszy na nieszczęśliwym Augustcie nie tylko zrzeczenie się korony polskiej, wydanie Patkuła, którego prowadził na śmierć męczeńską, chcąc nasycić bezprzykładną zemstą, ale nadto napisanie listu do Stanisława Leszczyńskiego z powinszowaniem na tron.

Właśnie spieszył Telembski za nim z depezsami, które zawierały i zrzeczenie się pomienione i list wymuszony. Nie doścignął Karola aż w Kazi-

mierz, gdzie się zatrzymał, aby sąd złożyć i ukarać Patkuła.

W niewielkim dworze murowanym zajął mieszkanie Karol XII; w rogu domu była mała sypialnia, tę przeznaczyć kazał na chwilowe więzienie dla ofiary swojej zemsty.

Nieszczęśliwy Patkuł, okuty w ciężkie kajdany, leżał na ziemi przy ścianie, wiedział już o złożonym wojennym sądzie, oczekiwał wyroku.

— O moja Elizo droga! rzekł z boleścią; może się już więcej nie zobaczymy, twój narzeczony obarczony więzami, napróżno wzywa litości u swoich katów; godzina ostatnia niedługo uderzy, która nas rozdzieli na zawsze.

Ta myśl wycisnęła mu łzy gorzkie, gdy usłyszał, że ktoś wszedł do jego więzienia; był to kapłan.

Pomimowolny dreszcz go przeniknął.

— Jakież wyrok? Co mi przynosisz, mój ojczule? zapytał drżącym głosem.

— Mój synu! bądź mężnym, ufaj Bogu.

— Rozumiem! odrzekł Patkuł z gorzkim uśmiechem, każesz być mi mężnym, jest to to samo, jakbyś wyrzekł: gotuj się na śmierć. I wlepił wzrok bawdawczy w sędziwe lica kapłana.

— Tak jest, bądź mężnym i gotuj się na śmierć, bo niedługo ostatnia uderzy dla ciebie godzina.

Patkuł zadrżał, zdawało się, że niespodziewany wcale wyrok dla siebie usłyszał, zbladł po chwili i zaczął rzewnie, jakby dziecię rozkwilone płakać.

Kapłan z czułością patrzył na nieszczęśliwego, podzielał jego łzy, nie śmiał wszakże wyjawić okrutnego rodzaju śmierci.

Mój synu! rzekł poważnym i uroczystym głosem, przyszedłem tu, ażebym cię przygotował na śmierć.

— Jakież wyrok sąd wojenny wydał? spytał go Patkuł.

— Wyrok śmierci.

— A król Karol?

— Potwierdził go w zupełności i rozkazał dziś jeszcze dopełnić.

— Dzisiaj jeszcze! zawołał z rozpaczą Patkuł, bo sam ten wyraz dziś, zabił wszystkie od razu marzone nadzieje i zdawało się, że miał brzmienie tak okropne, jakby jęk śmiertelny konającej matki. Nie znajdzie litości i przebaczenia? krzyknął po chwili.

— Napróżno, mój synu, napróżno! litości i przebaczenia tam szukaj, rzekł kapłan wznosząc ręce w górę i oczy do niebios. Tam jest nasz Ojciec, Ojciec wspólny, co zbłąkane dzieci, przytuła z dobrocią do łona, co nie używa różgi, kary, którą grozi zapamiętałym i idącym fałszywą drogą; w Nim położy ufność, bo niedługo staniesz przed jego świętem obliczem. Złóż ciężar trosków, cierpień i grzechów na łono moje; bo zaprawdę powiadam wam, mówi Chrystus: "co rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązane w niebie". Stań zatem oczyszczony przed tronem Stwórcy naszego, opuszczając ten padoł płaczu i nieprawości.

— Jakże prędko uderzy ostatnia godzina dla mnie?

— Natychmiast, skoro cię przygotuję do niej i opuszczę to miejsce.



— Król Karol odrzucił zatem sumy na wykup mój ofiarowane!

— Tak jest, mój synu! Nie tylko nie przyjął 100,000 talarów, które sam dawałeś, ale nie chciał słyszeć nawet o większej, bo 200,000 talarów od twojej narzeczonej.

— O moja Elizo! zawołał, umilkł zaraz płacząc rzewnie.

— Dobył jej wizerunek, który na piersiach nosił, wpatrywał się długo, zdjął go potem z siebie, a całując z uczuciem, rzekł cichym i osłabionym głosem:

— Mój ojczy, oddaj go mojej Elizie, powiedz jej, że ją zawsze kocham, a stojąc nawet tak blisko grobu, ostatnie moje westchnienia Bogu, ojczyźnie i jej poświęcę.

Łzy i rozrzewnienie przyniosły mu niejaką ulgę; ukląkł i zaczął się spowiadać. Gdy nachylony klęcząc odbierał rozgrzeszenie kapłańskie, gdy z nim wspólnie modły wznosił, uczył spokojność, nabierał męstwa i pociechy, jakie każdemu w ostatniej godzinie, gdy go wszyscy opuszczają, jedna religia udziela. Bo to jest chwila, w której opuszczając ziemię i ziemskie rozkosze, wszystko co miłe i ukochane, nie tracim religijnej nadziei, a ta osładza ostatni kres człowieka.

Kapłan skończył modły, ale zatrzymał się na prośby Patkuła.

— Mój ojczy, przygotowałeś mnie na śmierć, ale jeszcze pomimo nalegań, nie chciałeś jej rodzaju wyjawiać.

— Synu! rzekł kapłan, przytulając go do serca, gotuj się na śmierć, a śmierć okropną.

Patkuł odskoczył jak piorunem rażony, drżał jak liść od wiatru, wzrok jego zdziczał, usta zsiniały.

— Jaka śmierć! śmierć okropna wyjęknął.

— Okropna, sroga, wyrok zapadł, król potwierdził będziesz żywcem kołem łamany i ćwiartowany.

Patkuł bez przytomności upadł na ziemię; kapłan krótką odmówił nad nim modlitwę i wyszedł bez zwłoki uwiadomić straż, ażeby ocucić nieszczęśliwą ofiarę, by przy zdrowych zmysłach wyrok usłyszała i karę odniosła.

\*

\*

Telebski, zaledwo stanął w Kazimierzu, wprowadzony był do komnaty Karola XII, któremu do rąk własnych powierzone depeze oddał.

Król przebiegł je prędko oczyma, wyjął z uśmiechem ironicznym list, który zmuszony August do Stanisława Leszczyńskiego z powinszowaniem mu wstąpienia na tron napisał i zwracając mowę do jednego z oficerów rzekł:

— Zawieziesz bezzwłocznie list ten Najjaśniejszemu Stanisławowi I, bratu naszemu. Elektor saski, rzekł z przyciskiem, składa mu w nim swoje życzenia. Co do was, mówił Telebskiemu, mamy nadzieję, że zechcecie być na widowisku, które przedstawi jeden zdrajca. Po dopełnionym wyroku na Patkule, stawicie się przed nami.

Telebski w milczeniu skłonił się i wyszedł z komnaty królewskiej.

Po dopełnionym wyroku na Patkule, oficer wraz z Telebskim stanął przed królem szedzkim.

— Najjaśniejszy Panie! wyrok spełniony, Patkuł nie żyje.

— Czy widziałeś? zapytał Telebskiego.

— Tak jest, widziałem Najjaśniejszy Panie, widziałem i czułem! dodał z przyciskiem.

— Taką karę, zawołał z gniewem, każdemu zdrajcy Karol XII wymierzy.

— Możesz udać się do króla Augusta, powiedz mu, że najważniejszy warunek traktatu w oczach twoich dopełniony; może być spokojny, rzekł dalej z umiechem, niech się pożegna z koroną polską. Już nią innego ozdobiliśmy. Może siedzieć w Dreźnie. Karol na północy rozpocznie teraz; Piotr buduje dla mnie Petersburg, powiedz swemu królowi o tem.

Telembski skłonił się obojętnie i wyszedł.

— O! niech przekłete będzie imię i sława pomyślał, kiedy dla niej tyle krwi i morderstwa potrzeba.

Siadł na konia i dodał ostrogi, żeby prędzej opuścić te miejsca, obudzające tyle zgrozy i boleści w sercu człowieka; wyminął je, spoczął i wytechnął koniowi dopiero w dalekim lesie.

### XXIII.

“Jedzą, piją, lulki palą.

Tańce, hulanka, swawola,

Mało karczmy nie rozwałą,

Ha, ha, hi! hi! hejże! hola!”

Adam Mickiewicz.

— Do stu szatanów! dawaj żydzie więcej wódki! Co to, dla hajduka półkwaterek stawiasz? Dawaj tu kwartę! wołał podpity Jan Snigurek. hajduk z chorągwi Wojewodziny Działyńskiej.

— Szczob na tebe Diw przyszow horyłki! krzycał Kirryłło Kozak.

Żyd postawił gąsior szumówki na stole, Snigurek nalawszy sporą szklanę, wznosił w górę i rzekł do towarzyszków:

— Zdrowie nasze! a śmierć djabłom czerwonym!

W tym roztworzyły się nagle drzwi izby, ukazał się najprzód pijany Kurp Kwiczół. Chciał próg przestąpić, ale nie mogąc, nakiwawszy się dosyć, przeskoczył i raptem dygnął, bo nogi nie słuchały chęci jego. Skoro tylko w izbie stanął, zdjął widząc tyle zgromadzonych hajduków i szlachty zbrojnej, z uszanowaniem kapelusza, skłonił się nisko, potoczył się na ławę i usiadł z mocą. Wszedł z nim borowy, któremu kark czerwienił się jak rak, zarumienione szerokie policzki świadczyły, że nie mało jadł i pił.

— To nasz borowy! to nasz gajowy! krzyknęli hajduki! sam to kumie! zdrowie wasze! i wnet gąsior wypróżnili.

Borowy nie wiele się wymawiał i lubo już podchmielony, przetrzymał wszystkich i śmiał się z Kwiczóła, co na ławie z początku przewracał oczyma, a niedługo pod ławą smacznie zasypiał.

— Coraz bardziej trunek zawracał głowy, gwar się powiększał i zamieniał się często we wesołe okrzyki; każdy rozprawiał głośno i zagłuszał jeden drugiego. Snigurek dotrzymywał pola i chociaż ochrypl od wyteżenia głosu, opowiadał bójkę i wyrznięcie w Myszeńcu Szwedów.

Borowy z kapeluszem na bakier poświstywał wesoło, gdy Kirryłło podchmielony zaczął przy bandurce śpiewać dumkę ruską:

Hej, Kozacze! w imię Boha,

Wże holosyt w Cerkwi dzwin!

Komu miły dim, nieboha,  
Za prokuratym na zdohin!

Hej! Kozacze! na wraha,  
Hurra ha! hurra ha!

Tutki hora, a tam staw,  
Ruszaj, ruszaj kuda хочz!  
Perez wodu, można wplaw,  
Perez wodu, pereskocz!

Dalij chłapci na wraha,  
Hurra ha! hurra ha!

Zbyraj koniu kopytom,  
Chotiaj pina potocze;  
Ja zaklaw się korolom,  
Szczu Tataryn ny wtecze;

Szczu zjuszyt sia rot wraha,  
Hurra ha! hurra ha!

Nybijte sia Lacki dity,  
Pijte wyno u steła:

Teper można wam sydity,  
Jak pid kryłom Anheła;

Bo stril chmara na wraha,  
Hurra ha! hurra ha!

Nyżom spisy, nyżom spisy,  
Bo wże tanec sia zaczaw:  
Propadnete czorne bisy:

Kozak nowy kozuch wziaw;  
Kozak łetyt na wraha!

Hurra ha! hurra ha!

Zatrepotaw Orił w strachu  
I dywyt sia z hory laso:  
Czekaj troche, myłyj ptachu,  
Budesz isty skwerne miaso;

Bo dijdem w strem wraha,  
Hurra ha! hurra ha!

Hodi tobi w Polscezu hnaty,  
Tutki wieczne propadesz;  
Hodi tobi z namy hraty,  
Ny ujdziesz, ny ujdziesz!

Wiaży! koły! riż wraha!  
Hurra ha! hurra ha!

Borowy pomagał mu często, wkrótce sam się  
podniósł, wychylił szklanke wódki i grzmiącym  
głosem zaśpiewał ulubioną po gospodarach piosnkę:

Ozeniłem się na Mazowsu,  
Wziółem w posagu tsy ćwierci owsu!  
Tsy ćwierci owsu, dwie becki siecki,  
Tseba sie ciesyc z takiej dziewecki!  
Ani poduski, ani piezyny,  
Choćma kochanie na grochowiny.

Na donośny śpiew borowego, który poruszył  
nie jedną szybę w oknach, zbudził się i Kwiczol,  
chrapiący dotąd pod ławą, a usłyszawszy piosnkę  
ulubioną, zaczął kiwaniem głowy i mruczeniem do-  
pomagać. Borowy zakończył śpiew podniesieniem  
w górę szklanki wódki, którą jak ślimaka od razu  
połknął

— Tak, wykrzyknął podchmielony, bij na  
kwaśne jabłko, gdy się Szwed nawinie, śmierć dja-  
błom czerwonym.

— Niech zginą! zawołał Sniegurek.

— Wiaży, koły' riż wraha! krzyknęli Kozacy.

— Niech giną! powtórzyli wszyscy.

— Niech giną' rzekł na ostatku Kwiczol pod  
ławą.

Jonek Łopucha zaczął się śmiać do rozpuku, jak zwykle u pijanych się zdarza; a potoczywszy się do borowego, rzekł:

— Uściskajmy się, kmotrze i daj pyska i oburącz ścisnął go za szyję. Ja cię tak kocham, tak kocham! aż zakocham! Borowy na przyjacielski uścisk chciał się wzajemnością wypłacić, wstał z ławy, wyciągnął ręce, ale Łopucha co miał się rzucić w objęcia, stracił równowagę pominął ręce do uścisku gotowe i czołem uderzył o róg stołu.

— Trzymaj się! nie daj się! krzyknął Kwiczół z pod ławy.

Borowy podniósł Łopuchę z rozciętą skronią.

— Wody! wody! zawołał Sniegurek.

— Lepiej żydzie dawaj wódki, to się rana prędzej zgoi, rzekł borowy.

Arendarz podał Łopuchowi kieliszek wódki ale ten zamiast namaczania czoła krwią zalanego, wypił.

— Cha! cha! cha! roześmiał się Sniegurek, a z nim inni hajduki i Kozacy.

Łopucha, który mocnem uderzeniem otrzeźwiał trochę, uraził się ich śmiechem i zawołał rozgniewany.

— I czegoż się śmiejesz? czyś djabła weselnego połknął i szklankę wody się napił?

— Cicho! skórka na buty, odpowiedział Sniegurek z uniesieniem, bo ci statarujem skórę! rozumiesz?

— A ty pogański synu! wrzasnął zapieniony od gniewu Łopucha i rzucił na niego kieliszkiem.

— Co? to ty rozboje zaczynasz na publicznej

drodze, to okazyi szukasz? rzekł podsuwając się hajduk.

Ej, z daleka! krzyknął Kurp w groźnej stając postaci, bo cię palnę!

— To ty jeszcze, chcesz mnie palnąć, ty świętokrzyski rozbójniku doznasz co pięść hajduka, tylko mi jeszcze ujadaj.

Towarzysze Sniegurki, Kirryłło i Kozacy podnieśli się z pod stołu ujmując się za nim. Kwiczół wydobył się szczęśliwie z pod ławy i stanął na środku izby, chcąc pomagać kumowi w czasie spodziewanej bójki. Borowy jeden siedział nieporuszony, ale na twarzy widocznie gniew się mawował.

— Co to? czy ja pies, żebym ujadał? dotknięty tym wyrazem zawołał Łopucha.

— A co? czy on pies, czy co? powtórzył Kwiczół, uderzając nogą z nachyleniem głowy, jak baran, gdy do walki z drugimi się gotuje.

— Pies! krzyknął Sniegurek.

— Tak, pies! pies! zawołałi za nim hajduki i Kozacy.

— Lach i sobaka, to wira jednaka! wykrzyknął Kirryłło.

Na taką wzgardę, porwał Łopucha gąsior ze stołu i rzucił na nich, który o pierwsze czoło Sniegurki rozbił się w kawałki, hajduk upadł krwią zalany.

Towarzysze jego, jedni go podnosili i ocucali, gdy drudzy na czele Kirryłły już się gotowali do bójki. W tem podniósł się z ławy borowy i krzyknął drżąc od gniewu:

— Na rany Chrystusowe! jeżeli mi się który

ruszy, to mu kości połamię i wytrzęsę z kiszek choćby od tygodnia kaszę.

Hajduki spojrzeli po sobie, ale żaden nie śmiał się posunąć naprzód. Znali olbrzymią borowego siłę i słowo, że umie obietnicy dotrzymać.

— Czort tebe zabery! pomruknął Kirryłło i cofnął się za drugich.

— Weźcie go! rzekł Kurp do nich rozkazującym tonem, zanieście do domu niech go wódką wysmarują to i zdrów będzie.

Kilku wyniosło zranionego Sniegurkę, reszta w milczeniu zasiadła ławy i na zgodę kazali nowy gąsior wódki postawić. Tym razem Łopucha dwa tylko wypiwszy kieliszki, trzecim natrzepał ranę, do czego mu pomógł Kwiczół, co pijąc w jego ręce, zachłysnął się mocno i trysnął mu z ust całym półkwatkiem wódki na głowę.

— Ktoś się spieszy! rzekł po chwili.

W tym kilka bliskich usłyszano wystrzałów.

— To djabły czerwone! zawołał borowy i wybiegł z karczmy.

#### XXIV.

“Miłości! nad naszymi pokaż litość jęki,  
A że będąc człowiekiem więzy twoje noszę;  
Spraw twe bóle tak krótkie, jak są twe rozkosze;  
Lub rozkosze tak długie, jako twoje męki”.

St. Trembocki.

Czas wrócić do domu starego Przeździeckiego i zobaczyć powód nagłego zamieszania wszystkich.

Ciężko ranny, złożony na łożu przez borowego, był młody Władysław Grucezyński, syn sławnego w dziejach obecnych Jana Grucezyńskiego, prze-

ciwnika Augusta, a stronnika Stanisława Leszczyńskiego.

Władysław chował się razem z Wojewodziną Działyńską; od dzieciństwa ją ukochał, a to przywiązanie wzmacniało się coraz więcej doznanymi przeszkodami. Zdawało się, że o niej zapomniał, że serca nie jątrzy gwałtowna namiętność, gdy oddała rękę wojewodzie Działyńskiemu, a Władysław opuścił Ojczyznę i lat pięć bawił za granicą. Ale stary Jędrzej, który go wypiaستował na rękę i o wszystkim wiedział, często powtarzał, że prędzej się djabel w święconej wodzie skąpie, niż pan Władysław odkocha.

Widział on nieraz jego łzy, rozpacz i żale, a co ujrzał w chwili, gdy ślub z wojewodą brała, utwierdziło go w mniemaniu własnem mocniej.

Tego dnia nie spał pan Władysław przez całą noc, jeżeli zadrzymał nieco, zrywał się zaraz i rzewnie dziecięcymi łzami płakał. Gdy uderzyła godzina ślubu, pobiegł do kościoła i stanął w ciemnej uboczny między filarami. Nadszedł przedmiot jego miłości, młoda Jadwiga, strojna bogactwy i urodą, a przy niej posiwiały wojewoda. Władysław, którego uważał stary Jędrzej, zadrzał na ten widok, chciał się rzucić i rozdzielić ich, ale osłabiony wysileniem, upadł bezprzytomny.

Po trzech latach pożycia, umarł stary wojewoda; Jadwiga była wolną. Na nowo namiętna miłość obudziła się w sercu Władysława, ale i teraz różnych doznawać musiał przeszkód. Wojewodzina kochała Telebskiego, jakkolwiek niewzajemnie, gdyż ten szczęście swoje w Zofii Ordonównie upatrywał.

Właśnie stronnictwa szarpały Polską, Działyńska stanęła w obronie Augusta, a jej imię zabrzmiało w całej Polsce sławą i podziwem. Ojciec jego wspierał Stanisława Leszczyńskiego, Władysław bez wahania za Augustem się oświadczył i dzielnie orężem prawa nieszczęśliwego króla popierał, aż do chwili ostatniej bitwy, w której ciężko ranny, uniesiony był z pola bitwy przez borowego.

Bezprzytomny leżał na łożu długo, powoli odzyskując zmysły, otworzył oczy i z podziwieniem spozierał w około. Była to nie wielka komnata, w rogu jednej ściany stało łoże starego Przeździeckiego, na którym spoczywał przy nim stół duży, dywanem zasłany, dalej kanapa, przy oknach kółko do przedzenia, a nad tem zegar ścienny. Na ścianach wisiało kilka obrazów, między tymi największy Jana Sobieskiego na koniu, którego poprzedza bóstwo sławy, ogłaszając wielkie zwycięstwa króla bohatera. Władysław obojętnie na te wszystkie przedmioty spoglądał, ale wzrok jego na twarzy sędziwej rotmistrza i niewinnej Anny, długo się zatrzymał.

Młoda dziewczica klęcząc z wlepionymi w obraz Najświętszej Panny Maryi oczyma, zanosila gorące modły do nieba. Na jej dorodnej twarzy widać było to zajęcie, szczerosc i niewinność anielską, które cechują wiek jeszcze dziecinny.

Władysław wpatrywał się w jej oblicze, uczuwał coraz mocniejsze bicie serca, odwrócił głowę i spojrział na starca, osłabionego wiekiem i styranego trudami, który w tej chwili ciężko oddychał, tłumiąc w sobie bolesne jęki.

Gdzie jestem? pomyślał, tu słyszę ciężkie we-

stehnienia boleści i starości, a tu lekki oddech młodej dziewicy, której dusza rozmawia z niebem. Tu wiosna jeszcze, jakby róża, co za ledwie z pączka rozkwita, a tam starość osypana szronem wieku, jakby zima lub dąb spróchniały, co grozi upadkiem własnym. A ja w sile wieku w środku tej wiosny i zimy, stoję nad grobem i kończę wszystkie marzone nadzieje.

— Jakże się tutaj dostałem? A przypominam sobie, biliśmy się, w rozsypce raniony. Któż mnie uratował? Może ona!

Westchnął, ale wkrótce gorzko się uśmiechnął.

— Ona! czyż kiedy pamięta o mnie! A widziała, widziała moją miłość, przywiązanie niezachwiane, cierpienia i rozpacz! Lecz cóżby ją los mój obchodził, gdy innemu serce oddała. Kocha go! kocha! jak ja ją kocham zapamiętała! Poświęcałem się jej zupełnie, w tyłu bitwach zasłoniłem nieraz od morderczego ciosu, a jakaż za to wdzięczność? zimna, obojętna! grzeczny ukłon i wszystko.

W tej chwili ze zbytecznego wzruszenia uczuł gwałtowne bicie serca i gorąco. Oczy mu krwią nabiegły.

— Ciesz się! ciesz Jadwigo! i we wściekłości zerwał obwinienie rany, a krew trysła strumieniem.

— Ja... kończę, nie będę ci natrętnym; po mojej śmierci poświęć choć łzę pamięci! zalał się rzewnymi łzami, nagle boleśnie jęknął.

Anna pokoczyła do łoża rannego wojownika; Władysław konał. "Jadwigo!" był to ostatni wyraz, z którym życie ubiegło.

Młoda dziewczica krzyknęła z przestrawieniem; na

ten odgłos wpada gospodyni z mężem, cucą Grudczyńskiego, ale napróżno.

— Umarł więc! zawołał smutnie ze zwieszoną na piersiach głową stary Przeździecki. Umarł! niech spoczywa w Bogu! wyprzedził starego! I zaczął cicho odmawiać modlitwy.

Skoro Marcin dał znać borowemu o jego śmierci, wszedł Kurp, przystąpił do łoża, położył ucho na usta trupa.

— O! umarł biedak, niech mu przyświeca światłość wiekuista! przykląkł i trzy Zdrowaś Marya odmówił.

Anna rzewnie płakała, łzy jej poruszyły borowego.

— Szkoda go! rzekł zasmucony, bił się dobrze i dał się dobrze nie raz we znaki czerwonym diabłom. Nigdy nie uciekał! zawsze szedł na pierwszy ogień, a teraz....

Otarł łzy sukmaną i wyszedł śpiesznie z komnaty, bo nie mógł dłużej patrzeć na martwe zwłoki mężnego wojownika. Żal, boleść i zemsta szarpały jego serce. Na podwórzu zerwał się brytan z łańcucha i rzucił się na niego. Borowy porwał go wściekle, zdusił i wyrzucił za parkan; krew, którą ujrzał na rękę, ulżyła mu niejako, bo odechnął wolniej.

## XXV.

“Postrzył serce wojennym zapalem.  
Nadstawił ducha i z pułki chrobrymi  
Szedł na Połowcach mścić krzywd ruskiej ziemi”.

A. Bielowski, (Wyprawa Igora).  
Coraz smutniejszy przedstawiała widok Polska;

w owym czasie zalana była wojskami Szwedów i Rosyi, która ciągle popierała stronę Augusta II, zbrojnymi chorągwiemi szlachty polskiej, tak zwanej augustowskiej i stanisławowskiej. Do tego utworzyła się nowa partya pod imieniem obojętnych (Indifferentes), na której czele był Józef Potocki, wojewoda kijowski, mąż od dzieciństwa prawie aż do sędziwego wieku rycerskimi dziełami sławny.

Wiele szlachty, nawet liczne zastępy Tatarów, powiększyły to stronnictwo. Z początku nie oświadczyło się na żadną stronę dwóch królów współbiegających się o koronę polską; wszakże wkrótce widząc przemagającą partyą Stanisława Leszczyńskiego, z nią się połączyli, a Potocki za szczere i wierne usługi, nie długo potem otrzymał buławę wielką. Przejście to nie tylko wzmocniło jeszcze dotąd niepewną stronę Leszczyńskiego, ale oziębilo nawet zapal najgorliwszych przyjaciół Augusta.

Z pomiędzy wielu dotrzymywał statecznie wiary Szmigielski, a rozgniewany na Obojętnych, wszędzie ich ścigał i gromił.

Właśnie jechał na czele sześciu chorągwi starosta, mijając Podgórze. Z westchnieniem spoglądał to na dawny królów polskich zamek, to na mogiłę Krakusa i szczyty wież kościelnych.

Pograżony w dumaniu, ujrzał Mogilany i nagle kilka dosłyszał strzałów. Kazał się w jednej chwili sformować jeździe swojej. Przednia straż Szmigielskiego, silnie parta, już się cofała, gdy sam z dwoma chorągwiemi nadbiegł jej w pomoc. Nieprzyjaciel zatrzymał się, ale starosta nie dając mu czasu do ucieczki, uderza i po krótkiej walce roz-

prasz. Właśnie rozkazał ścigać pierzchających, gdy ujrzał na równinie uszykowane liczne zastępy wojewody kijowskiego. Prawe i lewe skrzydło składały hufce Tatarów, środek jazda polska; stali nieporuszeni, czekając spokojnie ataku. Szmigielski dobrze obznajomiony w tańcu z Tatarami, mało wenił ich siłę, uderzył we środek i od razu złamał szyk cały. Wszystko w rozsypce szukało ocalenia, sam wojewoda, patrząc na rozgromione chorągwie swoje, chciał się schronić w las pobliski, gdy otoczono go zewsząd i wzięto w niewolę. Obok niego upadł chorąży, mając rannego konia. Właśnie nadbiegł w to miejsce Szmigielski i gdy jeden ze szlachty wyrwawszy sztandar, rozwinął go, starosta spojrział na niego i szydersko się uśmiechnął. Były na nim haftowane saskie połamane miecze, a nad nimi orzoł polski ze zadartą w górę głową, z napisem z psalmu wyjętym: "Confregisti Domine gladius inimicorum et exaltasti caput meum". (Połamałeś Panie, miecze nieprzyjaciół, a wyniosłeś głowę moję).

— Mości wojewodo! rzekł do Potockiego, nie zawsze to prawda i wskazał na napis sztandaru. Jeszcze mamy całe orężę, ażeby podgalać czupryny zdrajcom i niestałym.

Wojewoda spojrział surowo mu w oczy i odrzekł ze szlachetną dumą.

— Panie starosto! los bitwy oddał mnie w ręce twoje; jestem niewolnik, ale to ci nie nadaje prawa, abyś się zuchwale urągał. Zdrajcą mnie nazywasz, a zapytaj dworu Najjaśniejszego króla Stanisława, jak cię tam nazywają.

Szmigielski przygryzł wargi z gniewu.

— Mało dbam na języki pochlebców dworskich i tyle o nie stoję, jak mój kord o łeb Tatarów! Niechże z nich który pokaże się tyle odważnym, żeby mu w oczy to wyrzekł! W mieście, za wałem, plotki piżmowanych pończoszkowych dworaków, mogą mieć jaką cenę, ale na polu bitwy wartoż je wspominać. Widać, mości wojewodo, że się troszczysz o nie bardzo, że blisko dworu siadasz, a może i dworską polewkę jadasz.

Potocki nie odrzekł słowa, ale gdy widział, że Szmigielski zwraca konia, zawołał głośno:

— Panie starosto! jako niewolnik mogę mieć tylko do ciebie prośbę. Wiem, że żona moja i dzieci pochwyteni w tym lesie i są w twojej mocy, proszę was za nimi, jestem mężem i ojcem i westchnął boleśnie.

Starosta zwrócił spiesznie konia, zbliżył się do wojewody i rzekł:

— Żona twoja i dzieci są wolne, będziesz się z nimi widział. Przecież my nie Tatarzy, umiemy białogłowy i niewiniątka szanować; wiem, że gdyby moja małżonka lub dzieci były w twojej mocy, równiebyś postąpił sobie, mości wojewodo.

Potocki rozrzewniony podał mu rękę, Szmigielski uścisnął podaną prawicę.

— W bitwie i w domu, bądźmy zawsze rodakami, może przyjdzie szczęśliwa godzina, że szable polskie nierozdzieloną chęcią na jednym polu będą walczyły.

W rozbitym namiocie\*, przy małym stoliku, siedział zamyślony Potocki, a przy nim rotmistrz pancerny Wojewódzki stał z uszanowaniem; głąskał



siwą czuprynę i w zadumaniu pokręcał wosą.

— Cóż słyhać dobrego? zapytał Potocki.

— Wszystko źle, panie wojewodo! mają nas wydać Piotrowi Wielkiemu, a ten djabeł wcielony Szmigielski, chce nas jako osobliwy podarunek jemu ofiarować. Wolałbym śmiecie w kruchcie u Kapucynów wymiatać przez trzy niedziele, niż do stać się w takie pazury.

— Niestety! trzeba się z wolą Boską zgadzać, panie bracie.

— A jać mówiłem wojewodzie, na kata nam było na skrzydła stawiać tych djabłów Tatarów z mysimi oczyma, a z mopsim nosem. Hultaje tylko do rozboju zdadne! pierwsi uciekli i narobili popłochu, a ja, choć z chorągwią dostałem pola, już nic nie mogłem poradzić, rozpędzili moich jak stado jeleni. O wstyd mi, panie wojewodo! jesczem nigdy nic podobnego nie doświadczył, z takim wojskiem przegrać bitwę!

— Widać, że takie było przeznaczenie moje — odrzekł wojewoda.

— Przynajmniej nie moje! zawołał z gniewem rotmistrz, gdybym sam był z moimi, jesczebym skórę wygarbował staroście i z honorem wrócił do obozu.

W tem nadszedł spiesznym krokiem Szmigielski do namiotu. Na jego twarzy widocznie malował się gniew i uniesienie.

— Zawołać mi rotmistrza Ordon! rzekł do służącego.

Rotmistrz stanął na zawołanie.

— Wszyscy moi na koń! żwawo! w tej wsi, wskazawszy ręką, jest tam trzech generałów mo-

skiewskich, piją herbatę teraz, uderzysz na nich i weźmiesz w niewolę.

Potocki i Wojewódzki słuchali tego z podziwieniem.

Odtąd mówił dalej:

— Ogłoś waszmość moim chorągwiom, że wierne nasze służby poświęcamy Najjaśniejszemu królowi Stanisławowi I. i uchylili czapki wymawiając te słowa, a kto nie zechce słuhać przewietrzy się trochę na pierwszej gałęzi.

Ordon wyszedł śpiesznie dopełnić rozkazu starosty.

— Wy zaś, panie wojewodo! rzekł obracając się do Potockiego, jesteście wolni razem ze wszystkimi swoimi.

— Jakaż zmiana szczęśliwa, zawołał uradowany rotmistrz Wojewódzki.

— Poznają teraz! krzyknął z uniesieniem Szmigielski, szablę moję tym, co przyjaciołmi Augusta się ogłaszałii, śmierć i zemstę poniosę! Hej! wina w puhary!

Dworzanie przynieśli kilka flasz sporych. Starosta napełniwszy duży kielich, podniósł w górę i zawołał.

— Niech żyje król Stanisław I.

— Vivat Rex Stanislaus! krzyknęła szlachta w pobliżu namiotu, a huk dział wtórował tym okrzykom radosnym, zwiastującym już prawie zupełny tryumf i pewność posiadania tronu Stanisławowi Leszczyńskiemu.

Huk dział zapowiedział przejście starosty Szmigielskiego na stronę tego, dla którego aż dotąd był jedynym postrachem, razem z Kurpiami. Szmigiel-

ski już uznał inną sprawę, już oręż poświęcił dla niej, a chłopcy bez butów mordercze walki staczali w obronie Augusta II.

## XXIII.

“U nas woroh ny zahostyt;  
Nasza szabla ny zapostyt;  
Wsiehda maje świżyj žyr”.

J. Padura (Zaporożec).

Z przerażeniem odebrał generał Steinflicht wiadomość o wyrznięciu w pień przez Kurpiów 400 piechoty i 200 drabantów szwedzkich w Myszeńcu.

— Niktże nie uszedł z tej nieszczęśliwej porażki? zapytał pułkownika Rebinder.

— Ani noga! odpowiedział, napadli w nocy na nieprzygotowanych.

— Jakto? nie rozumiem, przecież mój pułkowniku jesteś żołnierzem powinieneś być zawsze przygotowany.

— Nie bronię generała, majora Brena, przypłacił własnym życiem przez nieostrożność.

— Prawda, zginął! ale czyż jego życie potrafi opłacić śmierć sześciuset walecznych? On sam za siebie zginął, ale inni, których mu powierzyłem! Dobra nowina dla króla naszego, zawołał z gniewem, a spodziewam się go niezadługo, bo my tu obadwa, z tem co mamy, nie damy tym chłopom rady. Biją się jak psy wściekłe; codzień napady, codzień nas niepokoją.

— Ale i ich ubywa, rzekł Rebinder.

— I cóż z tego? mój pułkowniku, powiesiliśmy stu, a stracili swoich przeszło tysiąc.

— Dziś jenerale, mój patrol schwytał jednego Kurpia, straciwszy swoich pięciu; trzech było rannych, dostali się do niewoli i skończyli na sośnie. Bez uwagi na prawa wojenne, powieszono wszystkich o tysiąc kroków za miastem.

— To przekleństwo! krzyknął z gniewem Steinflicht, każ jeńca przyprowadzić.

Wprowadzono młodego brańca, był to siostrzeniec borowego, wyniosłego równie wzrostu, ale nie tak barczysty. Zwano go Bartoszem wesołym, albo Kurkiem, raz, że we wszystkich gospodach do tańca rej wodził, drugi, że naśladował doskonale pianie koguta. Miał ręce w tył skrępowane mocno, włosy w długich splotach spadały mu bez ładu na piersi i ramiona. Bładość na twarzy i ogień w oczach świadczyły o cierpieniach, jakich doznawał i zemście, którą oddychał.

Steinflicht, który umiał po polsku, rzekł po chwili spoglądając na niego surowo:

— Czy wiesz ty, leśny rozbójniku, że cię każę powiesić?

Kurp szarpnął mocno rękami, usiłując zerwać postronki, co go krępowały.

— Możebyś chciał się porwać na mnie, szatański synu, plując mu w oczy, zawołał z gniewem generał.

— Daj ręce wolne, to zabaczysz.

— A ilu was takich zuchwalców w jamach wilczych siedzi?

— Ile piasku na naszej ziemi! odrzekł z pogardą.

— My ten piasek przeczyścimy, od ciebie za-

cząwszy, krzyknął Steinflicht; powiesić go na pierwszym drzewie!

Czterech grenadyerów pociągnęli silnie opierającego się młodzieńca do ogrodu za kwaterą jenerała i na starej wierzbie powiesili.

Mężny Kurp nie rzekł słowa, nie prosił swoich katów o darowanie mu życia, wznosił oczy w niebo i po niedługiej męczarni skonał.

— Najjaśniejszy pan, mówił Steinflicht ochłonawszy z uniesienia, ma dziś stanąć wieczorem w Ostrołęce, a najdalej za godzinę spodziewam się ośmiu regimentów i 10 dział. Trzeba nam zacząć przed jego przybyciem, gdyż nie mamy się czego lękać napadu z tyłu od jazdy starosty Szmigielskiego. Już on sam przeszedł na stronę króla Stanisława i wszystkim oddziałom swoim wydał potrzebne rozkazy. Odtąd winniśmy ich uważać jako przyjaciół i dzięki niebu, bo przyznać trzeba, że starosta był strasznym dla niezwyciężonych szeregów Najjaśniejszego pana.

— Zapewne jenerale, odrzekł Rebinder, on jeden i te przekłete chłopcy, niepokoili jedynie naszego króla, teraz łatwiej już i tych niedźwiedziów wystraszymy z lasów.

— Według wiadomości, Myszeniec zajmuje jazda i hajduki w niewielkiej liczbie, a Kurpiów wcale nie ma; można więc bezpiecznie uderzyć, opanować miasto i zabrać osadę. Powierzam tę wyprawę tobie Rebinderze, wiem, iż dopełnisz jej jak najlepiej i nie zawiedziesz zaufania Najjaśniejszego pana, jakie zawsze we was pokłada. Potrzeba najprzód od lasów przeciąć wszelkie drogi przed natarciem z czoła; tym tylko sposobem niespodzie-

wanie dalej się w lasach ukazem, niż się mogę nawet spodziewać. Król tymczasem nadciągnie i zajmie tych niedźwiedziów jamy. Spiesz się mój pułkowniku, spiesz, bo czas drogi, trzeba zaczynać.

Rebinder odszedł, jenerał usiadł zamyślony nad mapą.

— Lasy i lasy! tu błota, łąki, kawałek pola i znów lasy. Jazdy i armat z korzyścią używać nie można; wszędzie tylko sama piechota naprzód iść musi. Ale niedługo mam nadzieję skończymy te zapasy krwawe, bo i o cóż się bijemy!

— Ach! rzekł sam do siebie, z uśmiechem uderzając ręką w czoło, jestem żołnierzem; nie rozumować, ale słuchać mi wszelkich rozkazów należy.

## XXVII.

“Stanęli razem i pilnują drogi,  
Wiodącej zapęd barbarzyńskiej dziczy”.

Tymon Zaborowski.

Borowy zaledwie wybiegł z karczmy, gdzie na zgodę po kłótni pili, ujrzał wielkie zamieszanie w mieście. Ze stu hajduków przeznaczonych do obrony Myszeńca zaledwie połowa zbiegła się na rynek.

Dwie chorągwie jazdy stanęły w szyku porządnym i silne patrole wysłały naprzód, ale Borowy poznał zaraz, że ciężka będzie tu przeprawa, gdyż zewsząd miasto niezliczone zastępy Szwedów otoczyły, wrócił spieszenie do karczmy.

— No chłopcy! zawołał, teraz tylko Boga wzywaj, a ręki przykładaj; djabły czerwone zewsząd otoczyły miasto.

A strzały coraz bliżej słyhc było, niedługo zadrżała karczma od huku dział, a szyby z brzękiem wyleciały z okien.

— Żebym sto djabłów zjadł i szklanke wody się napił, tu nie ma co dalej popasać, krzyknął Łopucha.

Huk ten otrzeźwił do reszty Kwiczola i opitych hajduków; chcieli wybiegać z karczmy.

— Stójcie, głupcy! zawołał borowy, czy jak myszy w łapkę na słoninę leciecie? Patrzcie, czerwone djabły już są na rynku.

Spojrzeni; piechota szwedzka już opanowała miasto. Wtem wbiega zadyszany Stanisław Bąk cięty pałaszem od prawego ucha.

— Uciekajmy! krzyknął. Szwedzi w mieście, chorągwie nadworne jeszcze się biją, ale hajduków rozproszyli.

Borowy wskazał ręką alkierz żydowski, z którego drzwi prowadziły do ogrodu; ku nim poskoczył, a za nim pobiegli i drudzy. Szwedzi zajęli miasto, dwa działa z rynku grzmiały morderczym ogniem na chorągwie nadworne, które w porządku się cofały, prowadzone przez mężnego romistrza Puchałę. Już były blisko lasu, gdy okrzyk z tyłu ich przeraził, ale wkrótce odpowiedział im wzajemnym, gdyż byli to Kurpie, co nadbiegli pomagać swoim. Zaczajeni poza soznami i w gęstych krzakach, wstrzymali napad jazdy szwedzkiej, która zewsząd biegła ze zapalem na polskie chorągwie.

Celne strzały Kurpiów przerzedziły ją od razu; rozsypała się i uciekła w popłochu do miasta.

Karol XII. który sam już dowodził, rozkazał pułkownikowi Rebinder z dwoma regimentami pie-

choty od prawego skrzydła, a z trzema od lewego generałowi Steinflicht uderzyć, sam z czoła rzucił się z jazdą. Porażka chorągwi nadwornych i Kurpiów była zupełną, mało co uszło z rąk Szwedów.

Borowy z trzema Kurpami i na czele 12 hajduków, przebiegł ogród, stanął nad sadzawką i spojrział wokoło, ażeby zmiarkować, w którą udać się stronę. Łopucha zbliżył się do niego.

— Kumotrze! rzekł pomieszany, już teraz nie ujdziem pazurów djablich; patrzcie! przed nami szwedzka piechota, a i za nami, a od miasta leci jazda.

— Bogu poleć duszę, odpowiedział ponuro, a ciałem bij djabłów i skoczył na błoto.

Kwiczol, Bąk i Łopucha, poszli za jego przykładem, ale żaden już nie zdążył z hajduków; wyrąbały wszystkich szwedzkie drabanty.

Kurpie celnymi strzały wspierali towarzyszków, od śmierci wszakże wyratować nie mogli, bo cztery strzały niewiele szkody dwustu Szwedom zrobiły.

— Z koni! zawołał do swoich podoficer Remer, wzięść ich lub zabić i wskazał ręką na borowego i towarzyszków, co się przez błota cofali.

Do pięćdziesięciu drabantów poskoczyło pieszo na błota; Kurpie widzieli z rozpaczą, że wszelka obrona napróżno. Borowy rzekł do nich z cicha:

— Mierz, ale nie strzelaj, dopóki nie dam zna-ku i postąpił najprzód.

— Poddaj się! Pardon zawołaj! rzekł do niego najbliższy dochodzący drabant.

Borowy za odpowiedź zmierzył i w same piersi ugodziwszy, powalił go na miejscu.

— Donnerwetter! krzyknął Remer, strzelajcie do tych psów wściekłych.

Kilkadziesiąt kul świsnęło, ale żadna nie trafiła celu, Kurpie nie poruszeni stali. Tymczasem wysłani w tył im Szwedzi zaskoczyli i po kilku strzałach powalili i skrupowali powrozami. Borowy jeden był jeszcze wolny, jeszcze się bronił zacięciem szerokim kordelasem.

— Nech sem złożu kard, rzekł nasz znajomy Dołmaszy, niszt im neurobim.

Borowy poznał Węgra, dla tego, gdy się zbliżył, pchnął go tylko silnem ramieniem i rzucił w błoto.

— Bassa... zawołał Węgier kosztując wody z kałuży.

Borowy stał jak olbrzym, iskrzącym okiem pozorując wokoło. W zylastej dłoni błyszczał kordelas, a strzelbę nieczynną miał przewieszoną na ramionach.

Wkrótce Karol XII nadjechał w to miejsce, a ujrzawszy go, krzyknął na swoich:

— Nie zabijać! wzięść go żywcem, bo lepiej powiesić z innymi na drzewie.

Dosłyszał to mężny Kurp, rzuca się na drabantów; pięciu ubija, nim sam uległ przemocy — padł jak dąb stuletni; skrupowano mu ręce i zaprowadzono wraz z innymi do obozu.

### XXVIII

“Siedział długo i długo się smucił.

A pochwycawszy się w górę jako jelen, Dalej dołem, przez las szeroko pusty Bystro pospiesza”.

Rękopism królewski.

Przy rozpalonych ogniskach siedzieli żołnierze szwedzcy; w pobliżu leżał skrupowany borowy, Stanisław Bąk, Jonek Łopucha i Kwiczół, oczekując na wyrok przyobiecany.

— No! oddamy im teraz za swoje! król nasz powiedział, że każdego powiesić każe, rzekł wasaty grenadyer szwedzki. Oczyścimy te ciemne lasy; już żubry, dziki i niedźwiedzie swobodnie w nich bujać będą.

— To mi sia ne paczy zawołał nasz drabant.

— Masz racya! powiedział młody podoficer Remer, pastwić się na bezbronnym niegodne prawego żołnierza. Dajcie im broń do ręki, oko w oko, kto mocniejszy, a teraz skrupowanych, jak leżą, wieszać! Ja umyvam od tego ręce, toby plamiło mój honor, na to nie zdał się żołnierz szwedzki, trzeba rozbójników.

— Hej! hej! rzekł drabant, oni maju rech. A my sem z kralom byli u nich, dali i jest i pit; przespali sem noczku u nich, a teraz wiszat każe!

— Co prawda, to nie grzech! mówił grenadyer i ja się nie zdałem na oprawcę. Choć nie noszą munduru, bili się jak żołnierze; krol wie, co stracił swoich.

Borowy westchnął głęboko i z jękiem, bo mu dojmowały sznury.

Dołmaszy zbliżył się do niego i zapytał:

— Co im doleha?

Kurp nie odpowiedział, zaiskrzyły mu się oczy i z gorzkim uśmiechem odwrócił głowę.

Remer zaczął wstawiać się za biedakami.

— Popuście postronki biedakom.

Dołmaszy borowego, potem Bąka rozwiązał, a Remer Łopuchę i Kwiczola.

Przystąpili Kurpie do ogniska. Dołmaszy choćby tymczasem z mantelzaka flaszę z wódką i zwracając mowę do Remera:

— Nu sem, mors, a tergo, Bibamus ergo.

— Dobrześ powiedział, mój bracie, rzekł Remer, dziś nie jednemu zaśpiewają: Requiescat in pace!

Byrowy przyjął flaszę, lecz zaledwie dotknął, oddał w ręce Bąka.

— Pre czo ne pijut?

— Bo trzeba po trzeźwu z Bogiem się pojednać.

Wiatr coraz mocniejszy powstawał i zasypywał z ognisk popiołem i dymem. Borowy położył się na ziemi, a przy nim jego towarzysze.

Dołmaszy rozwiesił na krzakach grubą burkę i usiadł pod jej zasłoną wraz z Remerem. Każdy pragnął spoczynku po dziennych trudach. Milezenie zaległo wszystkie ogniska, z dala tylko odgłos czat i straży przerywał cichość nocy.

Ale borowy nie spał, rozmyślał jakby wydobyć się z niewoli. Uważał, że wokoło żołnierze posnęli; jeden tylko wąsaty grenadyer, co najbliżej ogniska leżał i czuwał i baczne oko zwracał w stronę, gdzie spoczywali.

Wiatr dał coraz mocniejszy, a ciemne słupy dymu z ogniska, osłaniały często brańców przed bystrem wzrokiem Szweda.

Borowy nie wahał się ani na chwilę, lecz przy nagłym zawiewie porwał się, przyskoczył z tyłu, pochwyił za gardło, ścisnął. Twarz grenadyera ze-

siniała od razu; z martwej ręki wydarł mu szeroką szablę, zdjął pas z pistoletami, okrył się jego płaszczem i spojrział wokoło.

Wszyscy spoczywali, nikt nie posłyszał ostatniego jęku grenadyera. Borowy stał chwilę, żał mu było opuszczać towarzyszków, ale obawiał się, żeby nie spostrzeżono morderstwa.

Z wolna przesunął się koło ognisk ku bliższej puszczy, gdy w ostatnim łańcuchu straży dojrzał go Szwed na straży stojący.

— Wer da? zawołał.

Borowy nie zrozumiał co to znaczy, ani wiedział co odpowiedzieć, krótko się namyślał, przybliżył się nagle do niego i strzałem z pistoletu powalił od razu.

Ten odgłos poruszył cały obóz; porwał się Remer i Dołmaszy.

— Bassa! szo to za nowina? tako sem dobre spali.

Remer poskoczył do grenadyera żeby zbudzić, iż zasnął twardo, lecz jakież było jego podziwienie, gdy go ujrzał bez duszy!

— Zabity! krzyknął z przerażeniem.

Dołmaszy zbliżył się, wziął grenadyera za rękę i nie wyjmując krótkiej z ust fajki, rzekł:

— Maju recht! pomar!

Kurpie porwali się także ze snu na pierwszy rozruch, spojrzeli po sobie, żaden wszakże nie śmiał zapytać drugiego, gdzie jest borowy.

Ale bystry wzrok Węgra dojrzał braku borowego.

— A de sem sia, bassamazania! podieli ten wieliki chłap.

— Nie wiemy, odpowiedział Kwiczół.

— To sem oni taku breweryju narobili.

Remer posłyszawszy o ucieczce borowego, co żywo dosiadł konia i ze sześciu drabantami poskoczył w stronę, gdzie strzał usłyszał.

Dołmaszy tymczasem już ostrożniejszy, związać kazał niewolników i silną obstawił strażą, sam poszedł o tym wypadku donieść starszemu, przeklinając całą drogę.

Ciemność nocy zwiększała się coraz w gęstym lesie, którędy uchodził borowy; zatrzymał się niekiedy i wytężał ucho, czy nie usłyszy pogoni.

Zmordowany położył się w gąszczu i wystrzelony nabił pistolet. Nagle się zerwał, po chwili przyłożył ucho do ziemi.

— Gonia! ale prędzej samego Twardowskiego niż mnie pochwyć.

Poskoczył w lewo, a dostawszy się na wąską drożynę, zwolnił kroku. Noc zaczęła się wyjaśniać, a blade promienie księżyca przedzierały się między liście odwiecznych dębów i konary wyniosłej sosny.

Wybiegł na pole, z tamtąd na wzgórze jałowcem okryte, stąd ujrzał całe obozy Szwedów. Palily się wielkie ogniska, a łuna od nich wokoło odbijała o krzaki i drzewa. Widział tam poruszenie i kilku jeźdźców pędzących w stronę, gdzie celnym strzałem powalił Szweda na czatach.

Próżno konie mordujesz! pomyślał, już teraz borowy pan w lasach.

Zeszedł ze wzgóрка, niedługo ujrzał światło, dążył ku niemu, zapukał mocno do drzwi.

— Kto tam?

— Swój, swój, Małgosiu!

— Święta Małgorzato! dyć to nasz kum! Wszedł borowy, Małgorzata została przy drzwiach.

— A mój Staśko?

— U Szwedów! bo tylko borowy uszedł pazurów niedźwiedzia.

— O! najśłodsze Imię Jezus! co się z nim stanie, może go zabili i zaczęła rzewnie płakać.

— Nie zabili, ale zamordują; jeżeli mu rychłej pomocy nie damy! zawołajcie Jaśka,

Małgorzata wybiegła po syna, borowy zdjął strzelbę, przekreślił i pieńkiem nabił.

— Nie jeden tur i niedźwiedź ani odetchnął jak mu dałem połknąć kawałek żelaza i Szwed ani westchnie, jak pośwista borowy kulą.

Jaśko nadbiegł zadyszany.

— Mój tatulo! mój tatulo! Może go już zabili.

— Chłopcze! tu żal nie pomoże, trzeba ręki i pomocy Boskiej. Ruszaj co żywo do Dąbrowy, niech na gwałt uderzą w dzwony, ja tam zaraz nadbiegnę.

## XXIX.

“Jakiś zapach czuć się daje,

Wącham, niby jarzyna, niby coś z mięsiwa.

Wysiadam, idę spojrzeć skąd ten wiatr przybywa”.

Aleks. hr. Fredro (Przyjaciele).

W małej wiosce ustronnej nad Omulewem odbywało się wesele młodego Jonka Bartnika. Brzmiały skrzypce i basy, panna młoda siedziała wedle dawnego zwyczaju na “dzieży” (gdzie chleb zaczyna) okrytej białym płótnem. Dziewczeta, dru-

hny wybrane, rozczesywały jej warkocz i nuciły żałośliwym głosem:

“Zakukała kukaweczka na wieży,  
Zapłakała Marysiecinka na dzieży.  
Zakukała kukaweczka na Bugu,  
Zapłakała Marysiecinka u ślubu”.

Gdy nagle odgłos bębna pomieszał wszvstkich. Kobiety wystraszone pochowały się do komory. Mężczyźni zabierali się do obrony, wtem wpada młody Jaśko.

— Nie czas wam uciekać, czekajta cicho, tu djabłów czerwonych zabawta, a ja dam znać swoim i borowemu.

— To żyje borowy! zawołali radośnie; nie bójcie się dziatwa i niewiasty — on nas wybawi z każdej biedy.

Jaśko po drabinie wybiegł na poddasze, wydarł kilka snopów z poszycia i przysiadł przy samym kominie; wieczór dosyć ciemny ukrył go przed oczyma krwi cheiwych nieprzyjaciół.

Tymczasem zbliżała się kompania grenadyerów szwedzkich, bęben zwolna marsz wybijał; przy nich jechało do ośmiu szlachty zbrojnej polskiej, stronników Leszczyńskiego, którym dowodził osiwiwały Jordan. Słyszając muzykę i gwary, zachęcił Szwedów do odwiedzenia tego domostwa.

— Tu się, rzekł i posilin łatwiej i popijem czegoś: zawsze bowiem czuł wielkie pragnienie.

Mueller, kapitan szwedzki, usłuchał tej rady; otoczyli dom wokoło, żołnierze zostali na podwórzu, a kapitan z dwoma oficerami i szlachtą polską weszli do izby.

— Coś dobrze tu pachnie, zawołał wachając Jordan, czuć wódkę z miodem, o to wyborny trunkeczek; dajcie no sam.

Marszałek weselny przyniósł wielki gąsior zachwalonego trunku. Jordan przyłożył nos czerwono-siny, jak u jendora i ruszając wielkimi wąsami, rzekł z radości:

— Ma nie zły zapaszek, próbójmy; nalał pełną szklanekę, splunął i połknął od razu. Kapitanie, rzekł do Muellera, skosztuj jakem Sodalis Marianus przewyborny i wódka dobra, a miodek osłody i smaku dodaje.

— A nie macie tam moi poczciwi družbowie co do zasilenia głodnego brzucha? bo mój nos czuje tu jakiś groch, niby gęś, niby prosię, niby kaczkę i przysunął się do komina, gdzie ukryli na miskach potrawy, na ucztę weselną przygotowane, wyciągnął gęś pieczoną i dwoje prosiat.

— Bóg dajto wesele, patrzcie, co tu za dostatek wszystkiego; widać, że nas szczęśliwa gwiazda prowadziła, bo i mamy co zjeść i popijem czegoś, nie prawdaż kapitanie?

Ale kapitan Moeler, rozgrzany już krupnikiem, nie dosłyszał przemowy Jordana; wszedłszy z dwoma oficerami do komory, gdzie się niewiasty ukryły, ujrzawszy kilka młodych i nadobnych kobiet, chciał się bliżej z nimi zapoznać, lecz na nieszczęście zaledwie kilkanaście umiał wyrazów polskich. Z początku zaczął rozmowę, ale widząc, że go nie rozumieją, rozgniewany i rozmarzony trunkiem, porwał silnie za rękę pannę młodą, a nie zważając na krzyk jej ciągnął za sobą.

— Jakto? czy pozwolisz Waszmość na to, za-



pytał z iskrzącym wzrokiem Jordana jeden z jego towarzyszków Radwan, czyż i w oczach naszych mają dopełniać gwałtów i rozbojów?

— Daj pokój, mój bracie, odrzekł Jordan, nawsuwając czapkę na ucho, za krew chłopską nie warto się ujmować, jużci bić się z nim nie będę, a ona jak się wykrzyczy, to i da pokój.

Radwan, nie mogąc znieść widoku gwałtu i zuchwałości, z jaką wśród zgromadzonych włókł dziewczynę do drzwi, wyskoczył z poza stołu i krzyknął groźnie:

— Puść ją kapitanie, dopóki proszę i dobył szabli do połowy

Moeller za odpowiedź uderzył go nogą w piersi.

Na taką wzgardę, dobywa korda i z wściekłością uderza na kapitana, który nie mogąc się bronić odebrał straszne cięcie przez obydwa oczy i padł oślepiiony. Żołnierze widząc swego dowódcę zranionego, wpadają do izby, jeden z nich rzuca się na Radwana i mierzy bagnetem w piersi, ale ten równie silny, jak zręczny, szlifowaną karabelą od razu obcina bagnet. Szwed rozgniewany mierzy, a z połyskiem na panewce padł trupem szlachetny Radwan. Śmierć jego rozjątrza szlachtę i Kurpiów, powstaje wrzawa, a wkrótce zacięta walka.

Jaśko korzystał ze zamieszania i krzyków, cichaczem zesunął się z dachu, zeskoczył w ogród i pobiegł do lasu, gdzie borowy oznaczył stanowisko do zebrania Kurpiów.

A w momencie, gdzie niedawno radowano się, słychać było tylko jęki, szczełk szabli i gęste wystrzały. Rozjątrzona szlachta z Kurpiami walczyła mężnie z przemagającą siłą. Jordan podpity i wy-

straszony, schował się pod ławę przy oknie, żeby się zaś uchronić strzału, przykrył się trupem jednego z grenadyerów szwedzkich. Niewiasty, między którymi dwóch oficerów zostało, zamknęły drzwi komory, a ochłonawszy z przestachu, rzucają się na nich i po małym oporze, wiążą opitych, wynoszą do ogrodu, topią w stawie i uciekają w pobliskie lasy.

Borowy ze swymi nadbiega lotem sokoła, prowadzony przez Jaśka. Trzydzieści strzałów obaliło od razu trzydziestu Szwedów, reszta odurzona nagłym napadem, straciwszy swoich oficerów, nie wiedziała, co dalej począć.

— Morduj bez litości! rozległ się grzmiący głos borowego, a posłuszni Kurpie dopełnili rozkazu dowódcy. Wymordowano wszystkich, bez uwagi na wszelkie prośby.

I Moeller wyzionął ducha pod licznymi razami wyrzucono jego trupa za okno i zaczęto oczyszczać izbę.

Jordan ujawszy wpół rękami dotychczasową swoją tarczę, nie tak łatwo się jej puścił; ale wyciągnęli go razem ze zabitym Szwedem na środek izby.

— Coś ty za jeden? zapytał go borowy.

— Ja... ja... ja jestem sobie szlachcic na wasze usługi, rzekł drżącym głosem, a nos od trunku i strachu zajaśniał burakową czerwonocią.

— To nasz niby dowódca, zawołał ranny Bończa, on to był powodem tej walki i śmierci walecznego Radwana; wartoby mu dać napomnienie.

— A weźta no go, chłopcy! krzyknął borowy, a że to pan szlachcic, rozłóż sukmanę.

Rozkaz dopełniono; napróżno wołał Jordan, że zawsze kocha Najjaśniejszego Augusta, że służył jego sprawie, napróżno wzywał opieki niebios i wszystkich świętych. Odliczyć mu kazał borowy pięćdziesiąt bizunów. Ochrypl i omdlał z krzyku i boleści, ale niedługo otrzeźwiał, zlany kilkoma wiadrami zimnej wody.

— Wsadzić i przywiązać go na koniu! zawołał borowy, a gdy już Jordana przymocowano do siodła, zbliżył się Kurp, zaciął silnie konia, który galopem poniósł go do lasu. Jordan zaledwie z wysileniem zdołał narówną szkapę uhamować, zwolnił biegu.

— O jakim Sodalis Maryanus! rzekł z gniewem, ocierając pot z czoła, wyciśnięty sławną fabryką kańczugów, nie zapomnę tej krzywdy, pomszczę się srogo! A Imci panowie bracia, zamiast ratować z tego skweresu, to bij zabij na swego dowódcę; ni-zego jednak nie żałuję, jak tej gęsi smacznej bo i było czem popić. Westchnął boleśnie i jechał dalej.

### XXX.

“O nie pytajcie czemu tak mała  
Garstka, chorągwią mężnych powiewa,  
Było nas więcej, lecz z tego drzewa,  
Burza nie jeden liść oberwała”.

Juliusz Słowacki.

Na czele pięćdziesięciu odważnych Kurpiów darł się borowy przez ciemne lasy, spiesząc w nadziei uwolnienia swoich od śmierci niechybnej. Stał na tem samym wzgórzu, skąd się wczoraj przyglądał pogoni za sobą. Też same rozpoznawał miej-

sca, gdzie leżał skrępowany; tliło się jeszcze ognisko, zdawało mu się, że widzi grenadyera rozciągniętego, że spostrzega swoich oczekujących na wyrok surowy. W temże samem stanowisku zostawał oboz szwedzki; borowy rozpoznał wszystkie przesmyki, ale wahał się długo, nie miał pewności, gdzie więźniów trzymają.

Gęste czaty z podwójną bacznością, w poczwornym łańcuchu otaczały obozy. Lecz szczęśliwa zabłysła gwiazda; ujrzał, że drabant szwedzki spieszy na koniu w stronę, gdzie w ukryciu zostawali. Borowy rozstawił swoich, zalecił milczenie, wzbronił strzału, żeby żywcem ująć Szweda.

Jeździec widziany był to Dołmaszy, który z rozkazem Karola XII. spieszył do Myszeńca.

Węgier palił krótką fajkę, coraz dodając ostrogi swemu kasztanowi; przejechał wszystkie łańcuchy i zbliżył się drożyną wąską do krzaków, gdzie się skręcała, prowadząc w las nieprzejrany, w którym Kurpie zczajeni, leżąc na brzuchach, czekali spokojnej chwili.

Dołmaszy zwolnił trochę, bo mu fajka zagasła.

— Bassa!... pomruknął, dobył krzesiwa i zaczął wykrzesywać ogień.

Właśnie wjechał w las ciemny, koń się potknął o korzeń.

— Kutia! krzyknął rozgniewany i dał obie ostrogi; kasztan stanął dęba, gdy nagle ze wszystkich stron podnieśli się Kurpie, a Węgier od razu ujrzał się otoczonym.

— Mater Dolorosa! zawołał przerażony.

Borowy wziął go za kark, jakby szklanę wódki, podniósł w górę i postawił na ziemi. Doł-

maszy odurzał ze strachu, słowa przemówić nie mógł. Borowy spojrzął w oczy i poznał znajomego.

— To poczciwy. Szwed, rzekł z uśmiechem, znamy się już podobno.

Węgier powoli przyszedł do siebie.

— Prawdę prawiu — odpowiedział, społom spali i tuhu palanku pili. Ale oni sem bidu narobili tak utiekli.

— A gdzie nasi?

— Wnet ich budu wiszat!

— Gdzie nasi? zapytał groźno borowy.

— Uż oni rady sem nie dadzu, tam welmi wojaków ich streże.

— Prowadź nas! krzyknął w uniesieniu, zobaczymy, kto mocniejszy.

Dołmaszy z podziwieniem spojrzął na niego.

— Ket sem każu, dobre, my ich powedemo, ukażem, de ich trymajaju.

Nałożył sobie fajkę, zakrzesał ognia i zapalił.

— Jašku! zawołał borowy, weźcie tego konia, zaprowadźcie do chaty i pilnujcie.

Dołmaszy nie myślał odstąpić ulubionego wierzchowca, uchwycił silnie za munsztuk.

— A ket ja sem ne darujem im konia.

— Myślisz, że cię prosić będziem! krzyknął borowy i wstrząsł nim tak mocno, porwawszy za bary, że Węgrowi fajka wyleciała i słońce ujrzał w oczach.

Puścił trzymane lejce, Jaško poskoczył, dosiadł zwawo kasztana i pędem ruszył.

Dołmaszy rozżalony i zgnevany utratą konia, rzekł.

— Ket sem wziali moho konia, moho sem jedynoho przyjatela, to sem ich ne zawedu.

Borowy podniósł pięść silną, aż Dołmaszy się skurczył i rzekł pokorniej:

— Uż sem ich powedemo, lecz nech dadzu pokój i postąpił naprzód.

Dwóch Kurpiów wzięło go pod rękę, borowy z wymierzoną strzelbą szedł za nim, reszta w największej postępując cichości, znikła w ciemnościach lasu.

### XXXI.

“Zwycięzonemu za pomnik grobowy  
Zostanie suche drzewo szubienicy;  
Za całą sławę, krótki płacz kobiecy  
I długie nocne rodaków rozmowy”.

Bezimienny.

Pod ścisłą strażą leżeli skępowani Stanisław Bąk, Kwiczół, Łopucha i przeszło 300 Kurpiów, wziętych w niewolę. Kilka szubienic wznosiło się dokoła; wóz wyprężony stał przy nich napełniony powrozami do wieszania brańców. Nikt nie litował ich nędzy, nikt nie litował ich cierpień.

— Jonku! rzekł Bąk z cicha, czy nie można prosić, żeby popuścili trochę postronków? przetarły mi ciało, krwi pełna sukmana.

— Tak, tak, proście tych djabłów, co litości nie mają! odpowiedział; ostrożni teraz, jak borowy uciekł, jeszcze lepiej skępują.

— Mój kumo! odezwał się Łopucha, godzina ostatnia już bliska, żeby choć księdza, coby duszę grzeszącą oczyścić.

— Czego też pragniesz! To Lutry, Kalwiny

bezbożne syny, oni nie znają tego, a jakbyś prosił, toby wyśmiali poczciwego katolika, powiedział Kwiczol; nawieź! postronków z miasta na biedaków, co bezbronni leżą jak barany. O, żebym miał moje Jordankę, wystrzeliłbym każdy postronk z ręki kata, coby wieszał którego, a teraz mój Boże! mój Boże!

Wtym nagle rozruch powstał w obozie, zabłyśło kilkadziesiąt strzałów w pobliżu, trwoga ogarnęła Szwedów, rzucili się do broni.

Schwytany Dołmaszy prowadził borowego i jego towarzyszków ustroniem w miejsce, gdzie skrupowani Kurpie pod silną strażą leżeli. Pierwsze czaty uwiedzione głosem drabanta, przepuściły ich z łatwością, ale drugie dostrzegły podejścia. Borowy też nie myślał dłużej podchodzić zdradnie i otwarcie uderzył; rozbił strażę z łatwością i znalazł więzionych braci.

— Rozcinać postronki! zawołał do swoich, a który wolny, uciekaj w lasy, tam się zobaczymy.

Sam poskoczył do Stanisława Bąka, rozciął mu sznury, a wskazując bliskie krzaki, rzekł do niego:

— Stašku! w imię Boskie, weźta nogi za pas i w nogi, pocieszta swoją Małgosię i Jaśka, a jeżeli zginę, pomódlcie się czasem i za moją duszę — dajcie tam na mszę świętą.

Stanisław ścisnął go za rękę ze łzami i pobiegł wskazaną drożyną.

Na odgłos strzałów, uderzono na znak trwogi. Ze wszystkich stron piechota szwedzka rzuciła się do broni, a jazda na koni. Borowy ujrzał się jak w klatce, zewsząd ściśniony. Wielu Kurpiów ratowało się ucieczką, ale on sam po krótkim oporze

wraz z Kwiczolem, Łopuchą i wielu innymi wzięty w niewolę.

Karol XII rozgniewany taką zuchwałością, jak nazywał, tych chłopów bez butów, wydał wyrok śmierci na wszystkich Kurpiów, co dostali się do niewoli Szwedów, z rozkazem, ażeby jeden drugiego wieszał. Majora Rumlera, znanego z okrucieństwa, przeznaczono na wykonawcę wyroku Karola. Na czele dobranych siepaczy stanął między skrupowanymi Kurpiami.

— Ten wielki chłop! zawołał, uderzając nogą w głowę borowego, zda się na rzeźnika, rozwiązać go, niech wiesza zaraz drugich.

Borowy westchnął boleśnie i powstał; oddech miał ciężki, piersiami gwałtownie robił, oczy mu nabiegały. Po chwili rzucił się na Rumlera, pięścią tak silny cios w skronie wymierzył, że go zabił na miejscu; roztrącił strażę, zrzucił drabanta z konia, sam go dosiadł i w pełnym biegu dopadł lasu.

— Strzelaj! strzelaj! ognia do niego! zawołano zewsząd. Kilkadziesiąt kul świsnęło wokół Kurpia, dwa go trafiły. Borowy uczył postrzały, chwycił się oburącz za grzywę, koń wystraszony pędził jeszcze mocniej. Kurp czuł jak opada na siłach, nie mógł się utrzymać, wzrok mu ciemnieje, zachwiał się, skonał i upadł przy samej mogile Upiora; ale tak silnie skostniałe ręce za grzywę trzymały, że rumak spłoszony więcej trupem borowego, ciągnął go za sobą.

Śmierć Rumlera i borowego ucieczka, nie zmieniły losu Kurpiów; blisko trzystu nawzajem się wieszając zginęło.

O pół mili od tego miejsca pokazało się z lasu kilkunastu hajduków, a z boku chorągwie nadworne wojewodziny. Hajducy zajęli w łańcuchu oznaczone stanowisko i sokolim wzrokiem spoglądali naprzód, skąd się nieprzyjaciół spodziewano. Nagle z pośród krzaków ukazał się koń, w największym pędzie lecący na nich.

— Tfu! tfu! na psa urok! zawołał spluwając hajduk Brzoza, a czy widzisz go? i pokazał Jankowi Sikorze, co stał najbliżej.

— To koń może po którym zabitym z naszych chorągwi, odpowiedział Janek.

— Tak, koń, toć go widzę, ale co się to przy nim wlecze?

— A dalibóg że i prawda! krzyknął Sikora zdziwiony, co to za kaduk?

— Albo strzełę, czy co? rzekł Brzoza, mierząc strzelbą.

— Nie róbtą głupstwa, bo jeżeli to złe, kula się nie imie, a szkodaby konia, lepiej go złapać, może co znajdziem.

Usłuchał tej rady Brzoza i uważał, gdzieby zaskoczyć i pochwycić konia, ale ten, zmordowany biegiem, wysilony ciężarem, który dźwigał, upadł w pobliżu. Brzoza, jak prędko skoczył, tak jeszcze prędzej odskoczył z bojażnią i zaczął się żegnać.

— A co ci tam za djabeł, zawołał Sikora i spojrział, gdzie mu Brzoza palcem wskazywał. No i cóż to! to zabity człowiek.

— Może to upiór?

— Gdzieżby ci upiór był blady? wszak ci zawsze czerwony i żyje, a ten, mówi dalej Sikora,

uderzając kolbą karabina trupa, ani nogą kiwnie, zabity zupełnie.

— Prawda, odrzekł śmielszy już Brzoza, żeby ubior piechotą leciał przy koniu, wolałby sobiejechać i zapatrując się w trupa, po chwili wykrzyknął:

— Święty Bonifacy! dyć to borowy, nasz gajowy. Ale jak się zmienił, cały osypany piaskiem; mój Boże! któżby się spodziewał, że człowiek ten zginie, onby i djabła pobił.

— Przyszła kryska na Matyska! kto czem wojuje, od tego ginie! rzekł Sikora. Ale szkoda go! nie raz wlał za kołnierz gorącego ukropu djabłom czerwonym.

— A oni teraz nam naleją, odpowiedział Brzoza. Czy nie wiesz? Kurpiów rozbili, wielu zginęło, a teraz i borowy; sam ich król, co z djabłem trzyma, nie daleko stoi, a nasza garść hajduków i tę trochę jazdy, potrafi pobić? Chyba zaprzędują djabłu duszę, żeby ci swojej pomocy udzielił.

Sikora tymczasem odpiął mantelzak, do siodła przytrokowany, otworzył i znalazł mundur, dwie podkowy, kilka nabojów, buty, szczołki i szydło.

— Do djabła! zawołał rozgniewany, ani szeląga nie ma, gdzież podziewają pieniądze, co naszych codziennie rabują.

Brzoza uważniej przejrzał mantelzak i w chustce znalazł kilka dukatów i trochę srebra. Podzielił się zdobyczą.

— No! rzekł, teraz wartoby zanieść borowego do obozu, żeby mu ksiądz zaśpiewał i pochował w świętej ziemi, choć umarł zapewne bez spowiedzi.

— Zgoda! tylko mu oderwij ręce od grzywy.

— Gdzie tam rozejmiesz palce, mocno się trzyma, kiedy koń go aż tutaj przyciągnął; nie ma sposobu, trzeba uciąć grzywę.

Dobry pałasza i jednym cięciem uwolnił konia od trupa.

— A z koniem co zrobim? zapytał Sikora.

— Nie wiele z niego uciechy! Patrz, podnieść się nawet nie może. Nim dojdziem do obozu, to pewno zdechnie.

Jeszcze nie doszli swoich stanowisk, gdy ziemia zadrżała od huków dział ręcznej broni. Szwedzi ze wszystkich stron uderzyli raptownie, dym i kurzawa okryły nieprzejrzaną chmurą całe pole bitwy.

### XXXII.

“Ojczy! ja wzywam cię!

W koło mnie warczą piorunne dział grzmoty,

Rażą mnie błysków szalone przeloty!

Bojów zarządco! ja wzywam cię,

Ojczy, ty prowadź mnie!”

Fr. Kowalski.

Wojewodzina Działyńska już przyszła do zupełnego zdrowia, lubo niekiedy ból z odniesionej rany uczuwać się dawał. Zofia Ordonówna siedziała zasmucona nad krosienkami, gdy wszedł Jan Huczko, pacholek Telemskiego.

— Cóż nowego przynosicie, mój Janie? zapytała z radością Zofia, a gdzie pan? dodała po chwili.

— Mój pan nie długo przybędzie, zatrzymał się tylko na pogrzebie rotmistrza Przeździeckiego, co po śmierci pana młodego Grudczyńskiego umarł. Mój Boże! co też tam było płaczu, bo

pozostała jedna córka; jak też ten gołąbeczek płakał, wyrzekał. Matki już dawno nie ma, a teraz i ojca straciła. Ale pogrzeb odbył się suto, z paradą; wiele było księży, a gdy trumnę do grobu spuszczała, strzaskano jego herbową tarczę, bo umierał bez syna, ostatni swego domu i herbu.

Wojewodzina właśnie weszła do komnaty; opowiedział jej to samo.

Więc młody Władysław umarł! rzekła boleśnie, niech spoczywa w Bogu! Ojczyzna straciła w nim jednego z przedniejszych obrońców. Był to przyjaciel mojej młodości; chowaliśmy się razem, bawili w dzieciństwie wspólnie, wiele cierpiał! I odwróciła głowę, ażeby nie okazać łez, które jej żal wycisnął.

— Wtem wpada wybladły podstarość i donosi, że Szwedzi opanowali Myszeniec, osadę zabrali, Kurpiów, co biegli na pomoc, rozbili i są nie daleko.

— Któż przyniósł tę wiadomość? zapytała pomieszana Wojewodzina.

— Hajduk ranny, jaśnie wielmożna pani, co uciekł z Myszeńca. Czy ma się stawić?

Wojewodzina skinieniem głowy dała znak, ażeby przyszedł. Podstarość wybiedł i niedługo stanął wraz z hajdukiem Grzędą, który był cięty w głowę i przestreloną miał rękę.

— Cóż przynosicie nowego? zapytała Wojewodzina.

— Wszystko złe! Djabły czerwone o dwie tylko mile, Myszeniec zajęli i wszystkich.

— A mój rotmistrz, Puchała z dwoma chorągwiemi?

— Ranny i wzięty w niewolę.

— A hajduki?

— Co do nogi wycięci, może trzech lub czterech uszło z ogólnej porażki. Między trupami nie daleko karczmy, gdzie leżało ich niemało, poznałem pomiędzy innymi Sniegurka.

— A borowy gdzie się obraca? mówiła Wojewodzina już wybladła i drżącym głosem.

— Borowego powalili jak tura na błotach; może i zginął, bo czerwone djabły wszystkich chcą wywieszać Kurpiów, tak ich król rozkazał.

— Boże wszechmocny! zawołała Działyńska i zalane łzami oczy podniosła w niebo.

Niedługo tętent koni na podwórzu usłyszano, był to Telebski wraz z kilkunastu z chorągwi nadwornych, co uszli rąk szwedzkich, a których spotkał po drodze. Telebski zeskoczył z konia i wbiegł do wielkiej sali.

Blade lica Wojewodziny okrył mocny szkarłat. Zofia z żywym rumieńcem krzyknęła z radości, ale nieśmiała się rzucić w objęcia narzeczonego. Powitał z uszanowaniem Działyńską, a ze zapałem tyle mu drogą i kochaną Zosię.

— Panie Stanisławie! rzekła z powagą, hamując gwałtowne wzruszenie i bicie serca Wojewodzina, czy wiecie....

— Już wiem wszystko! jesteśmy sami, wszyscy nas opuścili, nawet Szmigielski. Sami jesteśmy! zawołał z uniesieniem; ale póki ręka żywa może za kord ostry chwycić, lepiej zginąć poczciwie, niż haniebnie zdradzać.

— Cóż spowodowało starostę do przejścia na stronę wrogów naszych?

— Co? duma i próżność; w bitwie schwytał

Potockiego z rodziną i sam osobiście chciał go oddać w ręce Piotra Wielkiego. Książę Mężyków, naczelny generał wojsk posiłkowych Augusta, czy zazdroszcząc mu tego, czy niedowierzając, oparł się temu, a Szmigielski wraz na stronę Szwedów przechodzi i nowego króla służby przyjmuje! Grożą nam zewszed niebezpieczeństwa; dla tego spieszyłem, by czasu daremnie nie tracić. Pozwoli pani Wojewodzina, że ją wyręcę w rozperządzeniach.

— Chorągwie nadworne na koni co żywo! Hajduki niech staną pod bronią i wyruszą do Mogiły Upiora; zapalić ogień na znak trwogi, po wsiach uderzyć na gwałt w dzwony.

Zofia wybladła słuchała Telebskiego. Podstarości bezwzględnie wyszedł ogłosić rozmistrzom chorągwi i dowódcy hajduków wydane rozkazy.

— Mój Janie! rzekła po chwili Wojewodzina do pachółka świeżo przybyłego, powiedźcie księdzu Józefowi, kapelanowi, ażeby pobłogosławił nasze chorągwie; może to ostatnie dla nich zegnanie i ukryła twarz w białych dłoniach.

Doznane klęski, nieszczęścia Ojczyzny i widok Telebskiego, którego namiętnie kochała, obok Zofii, zbyt ją poruszyły; płakała jak dziecię. Ale wkrótce wróciło jej męstwo i spokojność na twarzy, gdy wszedł dworzanin i donosił, że wszystko już w pogotowiu stosownie do wydanych rozkazów.

— Podać mi hełm i zbroję, rzekła do niego, a konia niech wyprowadzą na dziedziniec.

Telebski, jakkolwiek zajęty rozmową z ukochaną Zofią, dosłyszał ostatnie słowa Działyńskiej.

— Jaktó? zawołał, chcesz się na nowo pani Wojewodzina narażać; zostaw nam tę wyprawę,

dodał, z rozrzewnieniem całując jej rękę; rana zapewne jeszcze dolega.

— O rana moja! odpowiedziała ze smutnym uśmiechem, nigdy się nie zgoi i zawsze dolegać będzie. I mówiła dalej z westchnieniem, walka ta będzie zapewne ostatnią; Karol XII osobiście dowodzi i prze naszych całymi siłami.

— Tem lepiej! odrzekł ze zapalem Telembski, on siły większe, my większe męstwo okazać powinniśmy. Ale czas nagli! Trzeba uprzedzić naszych wrogów, by w lasy nasze zajrzeć nie śmieli. Bądź zdrowa, moja droga i kochana Zosiu, wymówił z cicha, Bóg dobry ziści nasze nadzieje, zobaczym się jeszcze i przytulił niewinną dziewczę do bijącego serca.

Wojewodzina zadrżała, a kładąc hełm na głowę, otarła nieznacznie łzy. Zofia tuląc się do łona kochanka jak bojaźliwy gołąbek, rzewnie płakać zaczęła.

— Bądź zdrow! bądź zdrów! niech cię Bóg szczęśliwie prowadzi, były ostatnie jej słowa, które usłyszał Telembski, gdy wyrwijając się z jej objęcia, pospieszył na dziedziniec.

Stały już tam chorągwie nadworne, uszykowani Hajduki i kilkaset Kurpiów zbrojnych, między tymi z krzyżem w ręku poważny kapłan. Działyńska ukazała się na ganku; okrzyk radosny powitał bohaterkę.

Kapelan przeżegnał wojowników, krótką odmówił modlitwę i rzekł głosem poważnym:

— Ufajcie Bogu! niech was nie ustrasza liczba nieprzyjaciół; zwalczycie ich za jego świętą pomocą! Ufajcie Bogu! On wesprze wasze ramię i doda

siły orężowi polskiemu, co w słusznej sprawie dobyty za wiarę, ojczyznę i króla. Skończył, przeżegnał jeszcze, pobłogosławił.

Wojewodzina dosiadła rumaka; wskoczył lekko na konia Telembski, zagrzmiały trąby i kotły! Niedługo milczenie ponure osiadło zamek, a w dali czasem tylko zabłysła zbroja lub wiatr przyniósł słaby odgłos trąby wojennej.

### XXXIII.

“Ha! blask w kaplicy grobowej,  
Ciszej serce! męki nowiej  
Nie licz do tej, co cię tłoczy’.

St. Starszyński.

W kaplicy zamkowej zapalono świece; na środku stała trumna, w której złożono zwłoki poległej w krwawej i morderczej walce Wojewodziny Działyńskiej. Ugodzona w same piersi, zakończyła bohaterskie życie.

Równego losu doznał Telembski; kula działała urwała mu nogę; prawie na skonaniu przywieziono go do zamku. Jan Iluczko złożył na wielkim stole zwłoki ukochanego pana, którego wypiastrował na rękach i troskliwie obwijał ranę, gdy usłyszał, że się drzwi owtorzyły nagle, spojrzął i zawołał.

Była to Zofia; powolnym weszła krokiem i osłupiały dotąd wzrok wlepiła w oblicze poległego wojownika. Jej suknia i włosy były w nieładzie, nie wyrzekła słowa, nie ujrano łzy nawet jednej, stała jak posąg; załamała z gorzkim uśmiechem ręce i padła bez przytomności.

We wielkiej sali usiadła przed zwierciadłem i



rozpuszczony warkocz splatać zaczęła. Huczko stał w kącie i płakał jak dziecię.

Zofia z boleścią westchnęła i wkrótce z gorzkim uśmiechem układając włosy na głowie zanuciła słabym głosem.

— A czego płaczesz? czego żałujesz?

Dziewczyno moja,

Jak nie mam płakać, nie mam żałować,

Nie będę twoja!.

Przerwała piosnkę, wstała, przeszła po sali i stojącego poznała Jana.

— A ty czego płaczesz, mój Janie? rzekła z podziwieniem? O! nie płacz, nie płacz, już ja ci zaśpiewam! Ale co ci zaśpiewam?

Spuściła oczy w ziemię, uderzyła w czoło ręką jakby przypominając sobie.

— O! już wiem, już wiem! to co mój Stasio lubi.

Jan na wspomnienie kochanego pana i widząc Zofią w tak okropnym stanie, głośno się rozplakał, ale łzy rzewne Jana nie zrobiły żadnego wrażenia na nieszczęśliwej. Uśmiechnęła się tylko, a stanąwszy w oknie, z którego ogród cały widzieć można,

— Janie! Janie! zawołała.

Jan się zbliżył.

— Mój Janie! przynieś mi tych białych kwiatków, co tak gęsto rosną i pokazała na śnieg, który grubo okrywał ziemię.

Odwrócił głowę przywiązany pacholek, boleść jak kamień cisnęła serce, nie mógł wytrzymać dłużej i wybiegł z komnaty.

W kaplicy zamkowej brzmiały pienia żałobne, wniesiono i drugą trumnę ze zwłokami Telemskie-

go. Nie było w tym świętym domu natłoku. Podstarości, Huczko, mało dworzan i kilka kobiet stanowiło cały orszak, który towarzyszył na cmentarz, bo wojownicy z chorągwi nadwornych, hajduki i mężni Kurpie, jedni zginęli pod zwycięskim orężem Karola XII, drudzy w rozsypce szukali bezpiecznej ustroni, chroniąc się przed okrucieństwem Szwedów.

Spuszczono trumny do grobu, każdy z przytomnych rzucił garść ziemi, jako ostatnią przysługę. Niedługo opustoszał cmentarz, Jan tylko klęczał i modlił się, gorzkimi łzami zalany.

Noc była jasna, księżyc przyświecał; nie długo usłyszał turkot wozu, co się przed cmentarzem zatrzymał. Dwóch Kurpiów dźwigało trumnę, a kobieta z płaczem postępowała za nimi. Poznał od razu Stanisława Bąka z żoną i syna ich Jaśka.

— Komuż to chrześcijańską oddajecie posługę? zapytał.

Małgorzata zanosila się od płaczu; Stanisław łkając, rzekł przerywanym głosem:

— To mój pocziwy kumotr, borowy; on mnie uwolnił od śmierci, a czerwone djabły zamordowały go okropnie. Ciało tyrało się po piasku, że nie mogliśmy nigdzie księdza dostać, pogrzebiem go sami.

— Nasza pani Wojewodzina i mój dobry Stasio, odrzekł Jan tłumiąc łzy i boleść, kochali go, niech więc przy nich spoczywa; tu mu wykopiem mogiłę.

Wzięli się do rydlów, wkrótce grób wykopali i spuścili borowego ciało, przysypali wysoko ziemią, uklękli.

— A światłość wiekuista niechaj im świeci na

wieki wieków Amen! rzekli razem kończąc swoje modły.

— No! bywajta zdrowi nam, panie Janie, zawołał Stanisław; nie mamy chaty, wszystko spalili czerwone djabły, że choć przy życiu człowiek, musi się tyrać na stare lata.

— Gdzież pójdziecie teraz? zapytał Jan zdziwiony.

— W nasze lasy, gdzie nas oczy zaniosą, gdzieby nie zwietrzyli te psy gończe. Bywajta zdrowi! a strzeżcie się, bo Szwedy zajrzą i do zamku teraz niezadługo. Nikt już im się nie oprze, gdy tych dwoje zginęło i wskazał na mogiły Wojewodziny i Telembskiego.

— I ten trzeci! wyrzekł Jan, cośmy dopiero pochowali; niech spoczywają w Bogu!

Karol XII nie miał po odniesionem zwycięstwie już przeciwników silnych w Polsce, bo cały naród zmusił do uznania królem Stanisława Leszczyńskiego, nasycając krwawą zemstą morderstwem rozsypanych Kurpiów, co już mu oporu stawić nie śmieli.

Banda opitego żołdactwa napadła zamek poległej Działyńskiej, zrabowali go i spalili. Podstarości, Dębołęcki z Janem Ruczką, który odtąd pilnował nieszczęśliwej Zofii, schronili się do Jazdowa. Łatwo wyobrazić sobie rozpacz starego Ordon a i matki, która na drugą ofiarę z rozdartem sercem patrzeć musiała. Chorobę Zofii chowały otętwiałość i ciągłe milczenie; w pięć miesięcy śmierć zakończyła jej cierpienia.

Karol XII pospieszył do Warszawy, gdzie w kościele Karmelitów na Krakowskim przedmieściu ze Stanisławem Leszczyńskim poprzysięgli sobie

wieczną przyjaźń i wzajemną obronę. Chciał widzieć zwłoki bohatera Jana Sobieskiego, które wówczas złożone były w kościele O. Kapucynów. Stał nad nimi zadumany długo i musiał pomyśleć, że gdyby martwa teraz prawica kordem władzała, chorągwie szwedzkie nie powstałyby nigdy na ziemi polskiej.

Odwiedził Wilanów, sławny z ogrodem pałac, zbudowany rękami niewolników tureckich, ulubione miejsce Jana III. Stanąwszy przy łożu, na którym umarł waleczny Sobieski, zawołał:

— Tak wielki monarcha powinienby być wolny od daniny, którą naturze wypłacamy.

Niedługo bawiąc w stolicy Polski, ruszył całymimi siłami przeciwko Piotrowi Wielkiemu, a uniesiony dumą i zwycięstwami, gdy się dowiedział, że buduje Petersburg, wyrzekł:

— Niech buduje Piotr miasta, potrafię je niszczyć.

Napróżno mocarz Północy ofiarował mu pokój; odrzucił wszelkie warunki.

— Brat Karol sądzi się Aleksandrem Wielkim, powiedział Piotr wtedy; ale we mnie nie znajdzie Daryusza.

Nie zrażał się bynajmniej z początku zwycięstwami Karola i co wyrzekł, sprawdził.

— Przewidziałem, mówił, że dopóty Szwedy nas bić będą, aż wojować nauczą.

Karol spieszył, stanął pod Puławą, gdzie w jednej bitwie stracił całe wojsko, sam uciekać mus uwieczniając zwycięstwo Piotra Wielkiego, a własną porażkę przysłowiem:

“Przepadł jak Szwed pod Puławą!”

A Kurpie? Zmuszeni poddali się i przysięgli wierność Stanisławowi Leszczyńskiemu.

Gdy los zmienny zgruchotał potęgę Karola XII pod Puławą, August upomniał się o swoje prawa i o tron wydarty przemocą; wspierał go Piotr Wielki i wojska moskiewskie weszły do Polski.

Ów postrach świata, Karol, siedział w Benderze nieczynny jak niewoluik; patrzeć musiał na zniszczone owoce własnych trudów, rozlicznych zwycięstw i tyle krwi wylanej. Szmigielski z Janem Grudczyńskim stawiali opór daremny Augustowi.

Jenerał Steinflicht z pułkownikiem Rebinder i nielicznym zastępem Szwedów, cofając się przed potęgą Moskwy, szukał ochrony między Kurpiami, w ich gęstych i nieprzejranych lasach. Kurpie przyjęli gościnnie swoich katów, darowali urazy, a raz przysięgłszy Leszczyńskiemu wierność, nie chcieli już uznać Augusta za króla polskiego. Z równym zapałem jak dawniej, porwali się do broni, stawiając mężny opór licznemu wojsku Moskwy którem dowodził jenerał Biron.

Steinflicht z Rebinderem i garstką Szwedów przywodził Kurpiom. Na nowo zadrzały lasy od huku dział i wrzawy wojennej, długo mordercze trwały boje z różnym na przemian dla stron obydwu powodzeniem. Niejedną jeszcze klęskę mężni Kurpie nieprzyjaciołom zadali i nie prędzej się poddali, aż wyczerpali wszystkie środki obrony.

Liczna załoga z Torunia z tyłu na nich uderzyła, pułkownik Rebinder, haniebnie zdradziwszy, moskiewską przyjął służbę, a waleczny Steinflicht

z pozostałymi towarzyszami broni do Prus się cofnął.

Opuszczeni Kurpie od wszystkich zdradzeni, musieli znosić nowe okrucieństwa i mordy i zaprzysięć powtórnie wiarę Augustowi.



4898



